

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

KLUCZE do SEZAMU

„Ludzie, rachunku!” — zawołał kiedyś pełnym głosem pewien satyrk, który nie mógł się doczekać kłosa. Ludzie, rachunku! — chciałoby się zawołać po lekturze ostatnich enuncjacji na temat naszej ekonomiki. Zawołanie takie wszak że nie przystoi. Po pierwsze, dość tani to kalambur o zabarwieniu wprowadzie żartobliwym, ale i histerycznym, a wszelka histeria nie ma sensu. Po drugie, byłoby hasłem, a hasła tracą swoją moc i dzisiaj mało są skuteczne. Po trzecie, grzeszyłoby dwuznacznością i wewnętrzną sprzecznością: chodzi o rachunek nie kelnerski, a uczciwy, ekonomiczny, a tego nie sposób przeprowadzić racjonalnie w hasłowym pobudzeniu.

Niemniej poważnie chcę tu powiedzieć o potrzebie rachunku, a raczej rachunków w sensie bodaj czterech podstawowych działań, których na ogół nie lubiliśmy w szkole i za którymi na ogół nie przepadała nasza dzieci: (ach, ta fatalna matma); tych stosowanych w życiu rozsądnych jednostek i społeczeństw działań,

które na ogół u nas są pogardzie (przepraszam, ale będę państwa zanudzał cyframi); o potrzebie tej dyscypliny, w której wydaliśmy wprowadzić paru „głobalnych” speców, ale to jakby na potwierdzenie reguły, że jako zbiorowość w niej najbieglejsi nie jesteśmy, a w każdym razie nie gustujemy.

Asumpt do demonstracyjnej pochwały rachunków i lansowania ich do rangi narodowego hobby dają właśnie wspomniane enuncjacje, wygłoszone z okazji V Kongresu Związków Zawodowych. Nie jest rzeczą przy padku, że drobiazgowo rachunkowa analiza kont naszej ekonomiki przedstawiona została tak licznemu gronu, reprezentującemu tak szerokie publiczne forum. Bez powszechnego udziału w niej tego forum i przejęcia się jej wynikami, bez powszechnego respektowania tych wyników, nie wyjdziemy z pewnego dołka, w jakim ugrzęźliśmy.

Cóż to za dołek i jakie jego wymiary? Najbliższy chyba ten, że

żyjemy obecnie na kredyt,

znalazłszy się w długach, w które dalej brnąć nie sposób. Nasze ujemne saldo w bilansie handlu zagranicznego przekroczyło wszelkie do puszczalne rozmiary. Dotyczy to zwłaszcza handlu z krajami kapitalistycznymi. Wyszliśmy na tym handlu jak Zabłocki na mydle nie dlatego, żeśmy Zabłoccy, ale raczej z powodu onego mydła. Była nim i pozostaje wadliwa struktura naszego eksportu. Ta ostatnia niekoniecznie jest dziełem pod władnych ministra Trampczyńskiego, choć i ich pracy, jak to wynika z przemówienia Władysława Gomułki, niejedno można by zarzucić. Wadliwa struktura handlu z krajami kapitalistycznymi determinował w ostatnich latach profil naszej produkcji towarowej, przeznaczanej na eksport. Była to produkcja częściowo su-

Dalszy ciąg
na str. 2



Ptaszyn — Wróblewski pierwszy Polak z saksofonem w Stanach Zjednoczonych
Fot. K. LUCZAK

ANDRZEJ MAKOWIECKI



muzyka
Zdradźona?

Jedną z atrakcji tegorocznej warszawskiej imprezy „Jazz — Jamboree 62” miały być występy zespołu szwedzkiego. Dlatego też swą wielogodzinną wędrówkę po Warszawie ukończyłem właśnie w „Hybrydach”, gdzie w sąsiedztwie z salką muzyczną barku niecierpliwie oczekiwałem na przedfilharmoniczny występ Szwedów. Bilet wstępu nabyłem bez żadnych trudności. Cieszyłem się z tego powodu niezmiernie, doskonale bowiem pamiętałem te czasy, w których nabywanie biletu na kameralne koncerty w „Hybrydach” było oznaką nadzwyczajnego wprost szczęścia. O 20,15 na otaczających baryk stółkach rozsiadli się Szwedzi. Było ich pięciu, wszyscy krótko przystriżeni, jasnowłosi, wszyscy bardzo młodzi. O 20,30 rozmyślania moje przerwał palker Szwedów, który dynamicznym, dwunastotaktowym „breckiem” wprowadził zespół w klimat nowoczesnego bluesa. Utwór rozpoczął się tak nagle, iż z lekkim pomyśleniem o swym — być może już zajęтым — miejscu w salce koncertowej. Szybko więc wkroczyłem do rozwibrowanej muzyki salki. Ale ustawione pod ścianą rzędy krzeseł nie były zajęte, smutno tu było i pusto, smutni byli także jasnowłosi, wspaniale grający Szwedzi. W tym czasie przyległe do smutnej salki pokoje emitowały z siebie wrzaski i śmiechy bywalców „Hybryd”. W jednym z nich grano w karty, w innym biała pingpongowa piłeczka już od paru godzin bezmyślnie obijała się o drewniane nogi pingpongistów. Do miejsc najchętniej oglądanych należał barek. Smut-

no i pusto było tylko w malej salce, w której znakomity zespół szwedzki gremialnie kłaniał się po skończonym utworze jednemu, nagradzającemu go brawami słuchaczowi. Zresztą słuchaczem tym też był muzyk.

Jazz jest — a właściwie był — muzyką od lat dyskryminowaną. Kilkanaście lat temu jeden z kompozytorów nazwał go „muzyką nędzy duchowej”. Jeszcze niedawno był tacy, którzy traktowali jazz jako wynaturzenie muzyczne kolidujące z naszą socjalistyczną kulturą. Czasy te minęły bezpowrotnie, a wraz z nimi okres wielkiej popularności jazzu. Odkał sale Filharmonii i klubów studenckich rozbrzmiewać zaczęły echem tej muzyki, jazz zaczął trącić swych wielbicieli niemal tak szybko jak ich zyskiwał. Sytuacja zmieniła się raptownie. Dziś nawet w studenckich klubach — niedawnych opiekunach i przytulcach jazzu — młodzież domaga się muzyki rozrywkowej. Jedynym dziś zawodowym zespołem jazzowym jest orkiestra Zygmunta Wicharego, zmuszona co prawda przez publiczność do komercjalizacji swego programu, lecz nadal w 50 proc. programu wierna dxielandowi. Zdecydowanie zmieniły się zainteresowania młodzieży w naszych szkołach muzycznych. W klasach tych szkół — podczas przerw — gra się teraz big beat, tak jak kiedyś grało się jazz. W ten to sposób polskie śró-

Dalszy ciąg
na str. 2



„Słubny portret” —

Jedna z prac z tegorocznej subskrypcji grafiki rozpisanej przez ZPAP — Okręg Łódzki i „Dziennik Łódzki”

Małgorzata Kuligowska

KLUCZE do SEZAMU

Dalszy ciąg ze str. 1

rowcowa (węgiel) i głównie rolnospożywcza (inne w dostatecznej ilości i jakości nie mieliśmy). Ta nasza podaż eksportowa podlegała skutkiem spadku popytu i skutkiem dyskryminacyjnej polityki krajów tzw. wspólnego rynku, systematycznej, a ostrej obniżce cen. Na obniżce tych cen w ciągu kilku lat ponieśliśmy ciężkie straty. One też przyczyniły się do owego najwyższego napięcia bilansu płatniczego.

Wobec tego może nie należało go „napinać” i nie handlować z tymi, którzy mało nam płacili? Ba, kiedy rzecz w tym, że wymiana z zagranicą, w tym z nieprzychylnymi naszym interesom krajami kapitalistycznymi, jest naszą życiową koniecznością. Wydobywając kraj z gospodarczego zacołania zbudowaliśmy takie przemysły, jak ciężki, maszynowy i chemiczny. Stanowią one o naszym potencjalnym „dorozwoju” we współczesnym świecie. Równocześnie jednak nie mamy, bądź nie zdołaliśmy jeszcze stworzyć, rodzimej bazy surowcowej dla tych przemysłów. Z tej prostej przyczyny, że łatwiej wnieść, powiedzmy, najnowocześniejszą fabrykę obrabiania, niż uruchomić kopalnię rudy żelaznej, nawet, jeżeli jej pokłady się odkryją. Stąd nieodzowność importu szeregu surowców. Za równo tych, w które nie obróciła nasza matka-ziemia, jak i tych, które kryją się jeszcze w jej łonie, a których poród wymaga jeszcze wiele czasu i atlasu.

Niestety, ów nieodzowny import surowcowy, a także inwestycyjny (maszyny i urządzenia, aparatura i części zamienne) oraz zbożowy, o którym za chwilę, przeważa szalę na naszą niekorzyść. Równowagę może przywrócić tylko ciężar gatunkowy naszego eksportu.

Nie jaja i nie szynki są

dziś i będą jutro w cenie na rynkach świata, a własnie coraz bardziej skomplikowane i precyzyjne maszyny oraz artykuły przy ich pomocy wytwarzane. Z tych ostatnich z kolei nie częściej garderoby, podlegające fluktuacji mody, będą się liczyć, lecz tzw. artykuły trwałego użytku. Czy stać nas na konkutowanie w zakresie tych ostatnich na rynku światowym? Niewątpliwie! Czy państwo wie, że w ciągu kilku ostatnich lat utraliśmy się szóstym w świecie producentem i którymś z rzędu eksporterem... rowerów? Tak, tak. W tym roku Zjednoczone Zakłady Rowerowe w Bydgoszczy i Zakłady Metalowe w Skarżysku produkują ich na sprzedaż za dolary 180.000 sztuk. Przy tym te pierwsze oferują kupcom do wyboru i koloru 32 typy welocypedów.

Wielkość i bogactwo asortymentowe naszych artykułów przemysłowych oraz zaopatrzenie w współpracę z krajami RWPG — oto wektor naszego rozwoju. Wektor tym bardziej pożyteczny i uprzywilejowany, że poparty dodatkowymi miliardowymi nakładami na produkcję eksportową.

Drugi wymiar naszego obecnego dolka stanowi zaobserwowany w tym roku, a ciągle od lat — deficyt zbożowy.

Jak to właściwie jest z tym zbożem? Niektórzy skłonni do abstrakcji powiadają: przecież przed wojną mieliśmy już dość zboża, a nawet jeszcze eksportowaliśmy. Prawda, eksportowaliśmy. Ale czy rzeczywiście mieliśmy go dość, albo w nadmiarze? Zboże, płody rolne i inne naturalne, surowcowe płody ziemi, to było wszystko, co mieliśmy do zaoferowania w handlu zagranicznym. Inni je przetwarzali, bogacąc się, a my uprawialiśmy tę półkolonialną, rabunkową samounieściwiałą-

ca wyprzedaż płodów ziemi kosztem niedożywienia ludności, głównie rolniczej, stanowiącej wówczas 60 procent ogółu Polaków. Dziś struktura ludności Polski uległa zasadniczemu przeobrażeniu. Nie ma już na wsi owych milionów zbędnych rąk do pracy. Ludność rolnicza stanowi już tylko 38 proc. Uległa też zasadniczej zmianie struktura społeczeństwa indywidualnego i zbiorowego. Gotowym zaryzykować nawet twierdzenie, że i za króla Sasa Polacy tak nie jedli, nie pili, nie puszczali pasa. Oczywiście, Polacy en masse. Mięso i tłuszcz, które przed laty stanowiły w garnku i na stole chłopskim, a także robotniczym, rarytas, jak dzisiaj papierosy o tej nazwie w kioskach „Ruchu”, stały się dziś mimo przejściowych niedoborów, głównie gatunkowych, artykułami powszechnego i powszechnego spożycia. O ile średnio rocznie w latach 1933-1937 przeciętny statystyczny Polak spożywał 19,6 kg mięsa i tłuszczu, o tyle w roku 1961 „wrzucił” ich „na ruszt” 52,5 kg. Ile to jest więcej? Proszę porachować, albo lepiej zajrzeć do tabelki, pomieszczonej w pełnym brzmieniu tekstu referatu Ignacego Logi-Sowińskiego („Trybuna Ludu”), gdzie wyliczone wskaźniki wzrostu konsumpcji artykułów spożywczych i przemysłowych codziennego użytku, a także stanu posiadania artykułów użytku trwałego. Znajdują się tam wszelkie inne wyliczenia dotyczące między innymi stopy życiowej, łącznie z informacją, że w latach 1958-1961 w stosunku do roku 1957 koszty utrzymania rodzin pracowników wzrosły o 12 proc., a także dolnego te koszty musiały wzrosnąć. Ale to dygresja.

Wróćmy do problemu mięsa, tłuszczu i zbóż. Związek między pierwszymi i drugimi o tyle jest ścisły, że przecież skądś te pierwsze muszą się brać. Ogromne ilości zbóż i pasz wymagają wysoki poziom naszej produkcji zwierzęcej. Tę os-

tafnią zaś nakazuje wysokie spożycie mięsa i tłuszczu w kraju, a zaleca oplatność hodowli z punktu widzenia eksportu. Naszym narodowym talentem populacyjnym (400 tysięcy nowych obywateli rok w rok) nie towarzyszy niestety płodność naszej ziemi. Będąc w tych samych warunkach klimatycznych i mając mniej więcej tę samą jakość gleb, co powiedzieliśmy, Belgia, Dania i Holandia, potrafią zbierać z hektara o 80-100 proc. mniej. Potrafią? Jest to nie tylko kwestia umiejętności naszych rolników, nikłej ich wiedzy agrotechnicznej objawiającej się w nieracjonalnym nawożeniu, ale również sprawa niemożności intensyfikacji produkcji rolnej z uwagi na rozdrobnienie gospodarstw i niedostateczną mechanizację prac w rolnictwie. Bezpośrednim skutkiem tej ostatniej jest notoryczne opóźnianie robót polnych. Straty z tego tytułu sięgają 10-12 proc. plonów. Poza tym ciągle jakoś wolimy piosenkę

„wio, koniku” a nie „won, koniku”.

W rezultacie mamy w Polsce około 2.800 tys. koni co stosunkowo na 1 ha stanowi pogłowie jedno z najniższych w świecie. Zre to rocznie 3,5 miliona ton zbóż, tzn. więcej niż konsumujemy w tym samym czasie maki i pieczywa ludność miast. Ale znowu sprawa nie jest taka prosta. Zanim konie zastąpi się maszynami, tych ostatnich musi być pod dostatkiem. Wyznacza to rolniczy produkt i usług przemysłu maszynowego na rzecz rolnictwa. Przemysł chemiczny w zakresie nawozów sztucznych, środków chwastu i owadobójczych, a także syntetycznej produkcji sztucznego białka paszowego ma również swoje do zrobienia. To jeszcze nie wyczerpuje powinności przemysłu wobec rolnictwa. Generalne uregulowanie stosunków wodnych, które by chroniło nas od kapryśnych aury, jeżeli tak niewinnie można nazwać coroczne kłeski powodzi albo suszy, nie obędzie się również bez przemysłu.

W sumie wypunktowany tu tylko z grubsza niedorozwój rolnictwa i jego skutek — deficyt zbóż i pasz, ciąży na całokształcie naszej narodowej gospodarki. Bezpośrednio — obciążając wydatnie nasz bilans płatniczy. Pośrednio — ograniczając możliwości eksportowe przemysłu maszynowego, który, jak rzekliśmy, musi współ-

działać w mechanizacji rolnictwa, co powoduje i takie niepomysłowości, jak konieczność wyrównywania luk w eksporcie różnymi półproduktami, jak np. wyroby walcowane.

Ponieważ jak sądzę, to nie dla wszystkich jest jasne, trzeba powiedzieć, że ów niedorozwój naszego rolnictwa jest klamrą zaciskającą naszą życiową stopę. Nie można swobodnie manewrować w podnoszeniu dochodów grup pracowniczych najniższej i średniej zarabiających, nie mając nadwyżek rolnych, gdyż grozi to zachwianiem równowagi rynku. Dość bezwzględne jest bowiem prawo elastyczności popytu: o ile dochody ludności rosną, to rośnie proporcjonalnie spożycie nie ziemniaków, albo chleba, ale właśnie mięsa, tłuszczu i nabiału, i dość nieproporcjonalnie wzrastają zakupy artykułów przemysłowych (np. mebli), których w związku z tym także musi być pod dostatkiem.

Krótko mówiąc intensyfikacja produkcji rolnej jest tym kluczem, który otwiera Sezam sytości i obfitości wszelkich dóbr. Sezam, do którego z takim trudem raz biegnać, raz idąc i ciężko sapiąc, zmierzamy. Główny to klucz, choć nie jedyny, bo zamki doń są również liczne i skomplikowane konstrukcji.

Od paru lat uczelnie mówimy, że Sezamu nie osiągniemy za pomocą zaklęć. Od niedawna dodajemy, że wytrychy też na nie się zdają. Myślę, oczywiście, o postępach technicznych. W tej mierze dokumenty kongresowe także dokonają rachunku. Wynika z niego dowodny wniosek, że

tempo postępu technicznego u nas jest ślimacze.

Historia z frezem typu Karasiowa w Zakładach H. Cegielskiego w Poznaniu (patrz referat I. Logi-Sowińskiego) ma walor anegdoty i dobrze byłoby, gdyby stała się treścią rozmów towarzyskich w kraju, zwłaszcza wśród ludzi przemysłu. Dydaktyczność moralu tej historii znowu prowadzi do rachunku. „W Zjednoczeniu Przemysłu Bawełnianego efekty ekonomiczne zakładów w planach postępu technicznego oceniano się na 345 milionów złotych w roku 1962, zaś na rok 1963 przewiduje się uzyskanie oszczędności na kwotę 425 milionów złotych”. Analogicznie, jak to ewidentnie wykazuje referat I. Logi-Sowińskiego — inne zjednoczenia i

resorty mogą wygospodarować z tego źródła majątek idący w miliony złotych. Rzecz w tym, żeby przestać deklinować ten temat na wszystkich szczeblach, a przejść do upartego wdrażania postępu technicznego. Temu celowi służy wezwanie związków zawodowych do zajęcia się tą problematyką, a także decyzja włączenia do samorządu robotniczego najbardziej pożądanym w tym względzie partnerów tzn. przedstawicielstwa NOT i ZMS.

Rachunek z innej beczki. Mówiąc o produkcji eksportowej, przewodniczący CRZZ wymienił pięć łódzkich zakładów bawełnianych, które zdołały poprawić jakość i zmniejszyć tzw. odrzuty eksportowe o 30 proc. Wynik ten osiągnięto dzięki zapobiegliwości samorządu. Ale obok tej zasłużonej pochwały następuje wyliczenie, ile milionów dolarów zaoszczędziłby cały przemysł bawełniany, gdyby w nim wszystkie samorządy wykazały równą dbałość i zapobiegliwość. Dbałość ta polegająca na rzetelnym operowaniu ołówkiem, bądź lepiej długopisem, w zakresie czterech podstawowych działów rachunkowych, potrzebna jest we wszystkich dziedzinach: w inwestycjach krótkiego i długiego cyklu, w budownictwie mieszkaniowym, w gospodarce materiałowej itd.

Nie jestem w stanie nawet streścić tych wszystkich rachunków, w które obfitują kongresowe teksty. W wyobraźni laika układają się one jako rebusy i prawie zagadki detektywistyczne, do których rozwiązania warto by się zabrać z równą pasją, z jaką oglądamy „Kobret”. Pożytek z tego byłby o tyle większy, że miast czczej, myślowej satysfakcji, płynącej z wyjaśnienia zagadki, powiększyłoby się wydatnie naszą narodową kieszę.

Wracając do przenośni Sezamu dobrobytu i kluczy doń, pragnę powiedzieć, że wzory ich kierownictwa par tyjne kraju narysowało nam ostatnio wyraźnie i precyzyjnie niż kiedykolwiek przedtem. Można nawet rzec, że dano nam do rąk dość szczegółową dokumentację techniczno-roboczą tych kluczy. Nie pozostaje nie innego jak dokładnie rozjeżdżać się w tej dokumentacji i bacznie na dyrektywy z niej wynikające przystąpić do pracy. W myśl kongresowego jakby motto: „Czego uprzednio nie wyprodukujes — tego i nie skonsumujesz”.

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

Dalszy ciąg
ze str. 1

dowisko jazzowe przestało powiększać się w ostatnich latach o młody, zdolny narybek. Dwa lata temu „król” polskiego jazzu Zbigniew Namysłowski był do tego wzruszony wieścią, iż w jednym z wojewódzkich miast do grona jazzmanów dołączył młody, zdolny i o dziełach tradycyjny puzonista. Pewnych niepokojących zmian doszukać możemy się również w naszej prasie jazzowej. Zdecydowany dawniej przeciwnik rocka i rolla — miesięcznik „Jazz” wprowadził w ostatnich miesiącach na swe łamy rubrykę poświęconą muzyce rozrywkowej, a w szczególności big-beatowi. Wprowadził ją ponoć na prośbę czytelników. Nie można mieć o to pretensji do redaktorów piśma. Wszak obecnie „Jazz” rozchodzi się dużo lepiej niż w czasach, w których traktował tylko o jazzie, a tym samym ma teraz większe możliwości agitowania młodzieży do grania i słuchania muzyki jazzowej. Przede-

raża tu jednak brak konsekwencji u redaktorów „Jazzu” i możliwość prób dalszego tematycznego „urozmaicania” miesięcznika. Inna stała się rubryka w „Sztandarze Młodych” też uległa „komercjalizacji”. Więcej tu teraz Presleyów niż Davisów, Ellingtonów i Adderleyów.

III
Z pewnością dla wielu problem jazzu nie istnieje, wielu szczerze powątpiewa o wartościach tej muzyki. Trudno dziś autorytatywnie stwierdzić, czy jazz jest wielką sztuką i na pewno śmiesz się mogą ci jazzmani, czy teoretycy jazzu, którzy drogą spekulatywnych rozważań usiłują wykazać zmierzchu muzyki klasycznej i bliskiego hegemonii jazzu w salach koncertowych. Jazz jest jednak demokratyczną muzyką i to zarówno w sensie odbioru jak i wykonawstwa, jest pierwszą na świecie muzyką traktującą z takim samym szacunkiem każdy z muzycznych instrumentów. Fakt zaś wtargnięcia jazzu do Filharmonii, fakt coraz częstszego łączenia się jazzu z nowoczesną poezją i baletem (jak to było na ostatnim Jazz-Jamboree) mówi sam za siebie. Jazz coraz odważniej i częściej wkracza tam, gdzie do tej pory wszechwładnie panowała klasyka. Poza tym w dzisiejs-



szych czasach jazz wydaje się najlepszą formą umysłowości społeczeństwa, a w szczególności młodej jego części. Obiektywnie zgodzić się należy, że nigdy nie było u młodzieży naszej tak wielkiego zainteresowania muzyką, jak właśnie w czasie inwazji jazzu na nasz kraj. Znam wielu takich, którzy poprzez jazz trafili do Filharmonii, którzy dzięki jazzowi nauczyli się słuchać Bacha i Beethovena. Wniosek stał prosty — jazz nie jest zbyt sztywny i żółtawy, należy, iż natchnienie zainteresowania nim z roku na rok maleje.

IV
Pocieszającym zjawiskiem jest to, iż odchodzący od jazzu słuchaczom nie towa-



rzyszyl i nie towarzyszą muzyce. W czasie szaleńczego żaden ze zdolniejszych jazzmanów nie zdradził jazzu. Pojawiając się po rocku i rollu calipso było minimalnie niebezpieczne, zaś panujący obecnie na estradach twiast zabrał jazzowi tylko tych wykonawców, którzy mu byli zupełnie niepotrzebni. Mimo niemożności zarabkowania tak zwany czystym jazzem, mimo nieaktualności powiedzenia „jazz to pieniądź” niemal wszyscy jazzmani kontynuują swą jazzową twórczość. Bakcyli jazzu jest tak silny, że nawet świadomie chcący z nim zerwać wracają w końcu na jego łono. I w naszej Łodzi znaleźliśmy jazzmanów, którzy sprzedali instrumenty, by

zerwać z muzyką, a następnie kupili instrumenty, by ją przeprosić. Jednak nawet ci najbardziej wierni i oddani zdają sobie sprawę z niewesołej sytuacji. Nie ma gdzie grać, nie ma dla kogo — narzekania takie słyszy się ciągle. Sytuacja w jakiej znalazł się opuszczony przez słuchaczy jazz, stała się przyczyną do powstania teorii odpadu snobów. Twórcy tej teorii zdają się cieszyć z faktu zawężania się kręgu odbiorców, z procesu elitaryzowania się jazzu. Hasło „sztuka dla sztuki” daje się słyszeć coraz częściej i w tym chyba właśnie tkwi niebezpieczeństwo. Bowiem jazz tylko wtedy był „silną” muzyką, gdy odbierany był powszechnie.

V
Na długo pozostaną w mej pamięci wspomnienia z pewnego jamu (jam, to nocne spotkanie muzyków). Rozmawiali na słuchaczy jazzmani nie dopuścili do udziału w tym jamie nikogo z niegrających. Grającymi i słuchającymi zarazem mieli być muzycy z dwóch doskonałych polskich tradycyjnych zespołów, które spotkały się ze sobą przypadkiem w obcym dla siebie wielkim mieście. Trudno nie żywić szacunku dla tych, którzy po wielogodzinnej, wyczerpującej pracy estradowej, zapominając o zmęczeniu, zbierają się, by grać i to grać już tylko dla siebie, nie dla braw i nie dla pieniędzy. Jam przeciągał się długo w ciemną noc. Słuchające pod oknami i drzwiami neliżące grupki młodzieży rozedrzyły się powoli do domów. Gdy patrzyłem na zroszoną potem twarz jazzmana improwizującego dziesiąty z rzędu chorus, pomyślałem sobie, że można być świętym na ziemi i jak świętych słuchałem tych, którzy grają nie wyglądali brząsku dnia. Kiedy o piątą nad ranem dochodziłem do zamkniętej bramy hotelu, jeszcze raz doleciała mnie z oddali smutna melodia, smutna i nostalgiczna, mimo zawrotnego swego rytmu.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

EKRA- NIK

❖ Młody, utalentowany reżyser radziecki Andrzej Tarkowski, którego „Dziecko wojny” uzyskało Grand Prix w Wenecji przygotowuje do realizacji nowy film o wielkim rosyjskim malarzu XV wieku Andrzeju Rubliowie. Operatorem filmu będzie Wadim Jusow autor zdjęć do „Dziecka wojny”.

❖ W Wileńskiej Wytwórni Filmowej współtwórcą „Żywych bohaterów” reż. A. Zebrenas realizuje adaptację filmową znanej książki Saint Exupéry'ego „Mały książę”.

❖ O statym wzroście zainteresowania filmami krótkometrażowymi bratniej Czechosłowacji świadczy dane cyfrowe: rozpowszechnienie filmów krótkometrażowych w pierwszym półroczu br. W okresie tym wyświetlano 283,709 filmów w tym 54,518 filmów o tematyce rolniczej i 31,518 o tematyce przemysłowej. W porównaniu z analogicznym okresem roku 1961 stanowią to wzrost o 44,276 filmów.

❖ Znakomity dokumentalista szwedzki autor znanego filmu „Mein Kampf” — Erwin Leiser zrealizował dwa nowe filmy: „Zwycięstwo i zwyciężeni” i „Bitwa stalingradzka”. Pierw-

szy dotyczy procesu przestępstw wojennych w Norymberdze. Archiwalne zdjęcia przypominają zbrodnię agresję przeciw Austrii, Czechosłowacji i Polsce, systematyczne mordy jeńców wojennych i eksterminację ludności cywilnej krajów okupowanych. Film podkreśla odpowiedzialność rządów Francji i Anglii z układy monarchii. Dokument filmowy o „Bitwie pod Stalingradem” zmontowany został ze zdjęć archiwalnych robionych często w ogniu walk na froncie. Film ten został zakupiony przez CWF.

❖ Wielu reżyserów francuskich bezskutecznie starało się zrealizować filmy, których tematem byłaby wyzwolenie wojny algierskiej. Film taki powstał wkrótce, ale we Włoszech. Reż. Gillo Pontecorvo w najbliższym czasie przystąpi do zdjęć. W głównej roli ma wystąpić popularny amerykański aktor Paul Newman.

❖ Duży spadek frekwencji w kinach francuskich spowodował, że od sześciu lat żadne kino nie pobilo rekordów kasowych. Dopiero nowy film Vadima z B.B. „Odpoczynek wojownika” pobit rekord — dwu kin paryskich „Colisee” i „Marivaux”, które osiągnęły 103 proc. frekwencji sprzedając także więcej na stołach w prześladach między fotelami. Na podstawie scenariusza Jeana Aurenche, reż. Jean Dellanov, kończy realizację filmu „Paulina Borghese”. Obok Ginu Lollobrigida występuje Raymond Pellegrin, Gabriele Ferzetti i Micheline Presle. „Paulina Borghese” będzie pierwszym filmem francuskim zrealizowanym systemem „Technirama 70”.



Młoda aktorka Pola Raksa w nowym, realizowanym obecnie filmie polskim „Ich dzień powszedni”.

Fot. G. Puciato

„STOKROTKA”

Trudno pisać z entuzjazmem o tej komedynie, która zrealizował „Iachman” w tej dziedzinie bo reż. Marc Allegret, twórca wyświetlanej u nas komedii kryminalnej „Julietta” z Dany Robin. Otóż „Stokrotka” z Brigitte Bardot w roli głównej jest na pewno wabikiem kasowym nie do pogardzenia dla CWF. Banialna intryga, z nieznośną dziewczyną piszącą tzw. powieści i nowelki z kluczem, traci schematem i ogranyimi chwytami sytuacyjnymi znanymi z wielu komedii francuskich, a m. in. ze wspomnianej „Julietty”. Jest więc „Stokrotka” bezkarnym filmem obliczonym na gusi najennie wymagającej widowni, próbującym pozyskać publiczność między innymi przed wszystkim poprzez stosunkowo obficie — okazaną gołębnie niezbyt zgrabnych i urodliwych pan.

Kulisy konkursu na najlepszy strip-tease są żenujące pod względem gustu, a momentami po prostu niesmaczne. Popularna B.B. na takim to wypadku oczywiście odnawiając tak pod względem interesującego sposobu zdejmowania przyodziewku, jak w ukazującym swych znanych wdzików. Jęg przy tym ujmując bezpretensjonalnie i — jakby obok znakomitego komika — francuskiego D. Cowla („Profesor”) jedyną wartość filmu zrealizowanego na podstawie scenariusza ex-męsa B.B. Vadima i samego reż. Allegreta. W komedii tej rola Brigitte Bardot była jedną z pierwszych głównych ról filmowych, które w roku 1958 B.B. otrzymała. „Stokrotka” jest więc w całej karierze filmowej popularnej „cowy girl” etapem chyba ważnym, a co za tym idzie ważną pozycją w jej filmografii. Dla kinomanów śledzących sensacyjne kaskady, gwałty, obelżenie „Stokrotka” stanie się niewątpliwie taktom nieodzownym.

Co nas czeka?

Trzeba od razu uprzedzić Czytelników, że w grudniu nie będziemy chybą zmuszeni do częstszego wystawiania w kolejkach przed kinami. Zapowiadany już odpowiednim tzw. zwiastunem film Williama Wylera „BIAŁY KANION” z Gregory Peckiem, niestety nie będzie jeszcze w najbliższym czasie na ekrany. Podobnie przedstawia się sprawa ze słynnym już filmem Clouzota „PRAWDA”, w którym rolę główną gra Brigitte Bardot. Powód jest zasadniczy — brak odpowiedniej ilości kopii wymienionych filmów, którymi niestety Centrala Wynajmu Filmów nie dysponuje w chwili obecnej.

Co więc w grudniu można oglądać w kinach łódzkich? Otóż poza premierami polskich filmów — „KLUBU KAWY ALEROW” reż. J. Zarzyckiego, „SPOTKANIA W BAJCE” reż. J. Rybkowskiego i premierą „DZIEWCZYNY Z DOBREGO DOMU” reż. A. Bohdziewicz, którym to filmom poświęcimy osobne recenzje, niewątpliwym „filmem miesiąca” jest świetny dramat psychologiczny popularnego na Zachodzie reż. Michelangelo Antonioniego — „PRZYGODA” z rewelacyjną Moniką Vitti i Gabrielem Ferzetti w rolach głównych. Nie jest to tradycyjny dramat psychologiczny opierający się na dotychczasowych konwencjach tego rodzaju filmowego, ale na tendencjach nowoczesnej „antypowieściowej” literatury. O filmie tym szerzej uwagi pióra Marii Kornatowskiej zamieścimy w następnym numerze „Mieszaniki”.

Bardzo daleki związek z nowoczesnością formy filmowej, której przykładem jest wymieniona „Przygoda”, ma francuski komedio-dramat reż. Jeana Giraulta „WOCZY PFD”. Wiele z krytyków zachodnich próbowało zaliczyć ten film do „nowej fali” francuskiej. Jest więc w „Owezym pedzie” sporo francuskiej, paryskiej rzeczywistości, sporo dobrego materiału obserwacyjnego, wiele realizmu w ukazaniu codziennego życia tzw. szarego i przeciętnego mieszkańca Paryża. Reżyser potrafił podkreślić wiele wad współczesności, mając tej miary pomocnika, co D. Cowl — jeden chyba z najlenszych obecnie farsowych aktorów francuskich. Mimo tych zalet: dokumentalnych i aktorskich film Giraulta robi wrażenie utworu, który powinien skończyć się w połowie swojego metrażu. Jego druga część „samochodowa-

weekendowa” wydaje się na się wyciągniętym, zbyt w efekcie sielankowym epilogiem interesującej części pierwszej filmu. Trudno więc dać „Owczemu pędowi” tabliczkę „nowej fali” jak to zrobiono na polskich plakatach reklamujących ten film. Czyżby zasugerowano się tytułem filmu?

W grudniowym repertuarze znajdujemy dwie pozycje poświęcone minionym wojnom światowym. O „WIELKIEJ WOJNIE” — znakomitym dziele Mario Monicello, nagrodzonym w 1959 roku w Wenecji — Grand Prix ex aequo z „Generałem Della Rovere” — Rosseliniego, pisaliśmy już w numerze 41 „Odgłosów”. Film dopiero obecnie wchodzi do rozpowszechniania w łódzkich kinach. Grają w nim m. in. Silvana Mangano, Alberto Sordi, Victor Gassman. Druga pozycja o tematyce wojennej jest dramat produkcji angielskiej pod intrygującym tytułem „I ZDRAJCA JEST WSROD NAS”. Film tematycznie ma wiele wspólnego z dziełem Jeana Renoira „Towarzysze broni”. Ukazuje sylwetki psychologiczne i losy grupy oficerów brytyjskich w ofiarę znajdującym się we Włoszech, w Lombardii, latem 1943 roku. Poprawna realizacja, dobre kreacje aktorskie decydują o tym, że film reżysera Don Chaffey'a, autora wyświetlanego u nas filmu psychologicznego „Oszczepiony” można zaliczyć do udanych i godnych obejrzenia pozycji filmowego repertuaru w bieżącym miesiącu.

Nie zachęcające są dla Czytelników perspektywy spędzenia zimowego wieczoru na projekcji dramatu produkcji zachodnoniemieckiej „JONS I ERDME” z Giulietta Masina i Richardem Basehartem. Reżyser Victor Vicas zrealizował utwór filmowy bardzo długi, monotony i bardzo smutny. W swych wartościach intelektualnych i artystycznych obcy dla współczesnego odbiorcy. Kreacje aktorskie Masiny i Baseharta również nie wniosły dodatkowych wartości artystycznych. Nie pomogły filmowi nawet polskie plenery we wsi Dąbrowa Wielka w okolicy Puszczy Kampinoskiej.

A. N.

odgłosy str. 3



Fotos z filmu „Stokrotka”.

NAJBARDZIEJ „USEKSUAL- NIONE” NARZĘDZIE



„Przewaga maszyn — pisał Goethe w 1828 r. — martwi mnie i niepokoi. Zjawisko to narasta powoli jak burza, aż kiedyś wybuchnie i zostanie przezeń skatowany”. Minęły 134 lata i prorocstwo Goethego sprawdziło się w dosłownym i w przenośnym sensie. Maszyny nie tylko zdobyły przewagę nad człowiekiem, ale i w sposób zupełnie konkretny traktują go i zabijają. Rzecz jasna, że nie maszyny przemysłowe, o których myślał Goethe, lecz wielokrotnie na 2 lub 4 kółkach, dzieła człowieka, które uczestniczą w wielkim, zbiorowym wysiłku życia i przystosowują się do szalonego rytmu współczesnej cywilizacji. Auto stało się dziś symbolem prestiżu, potwierdzeniem i zarazem najłatwiejszym sposobem zaimplementowania osiągniętego dobrobytu. Samochód jest środkiem pokazania własnej władzy, władzy człowieka wyzutekiego z władzy przez postępy techniczny, przynajmniej nad jedną maszyną. Badania przeprowadzone nie dawno w niektórych środowiskach robotniczych kręgów kapitalistycznych dowodzą, iż auto stanowi najwyższy obiekt pożądania, przedmiot żarliwszych aspiracji jeszcze przed domem i przed poprawą warunków pracy. Rozmaite psychoanalizy twierdzą zaś, że auto jest najbardziej „seksualnym” czyli najbardziej nasyconym emocjonalnie i symbolicznie narzędziem spośród tych, którymi posługuje się współczesny człowiek.

NAJWYŻSZA Z POKUS



Ale dlaczego właśnie auto, a nie jakiś inny wynalazek, doskonalszy i cenniejszy? Według Leonarda Ancony, profesora psychologii Uniwersytetu medycznego przyczyna tego zjawiska tkwi w tym, iż auto najlepiej odpowiada warunkom procesu identyfikacji ze strony człowieka. „Człowiek dzisiaj — mówi Ancona — jest bombardowany coraz to nowymi i najbardziej atrakcyjnymi wzorami życiowymi. Życie staje się coraz bardziej zewnętrzne i w konsekwencji natura ludzka przestaje przyjmować rzeczywistość prawdziwą, a ulega nieskończonemu pokusom sztucznej, czysto zewnętrznej rzeczywistości. Auto jest właśnie najwyższą z pokus i właśnie na nim słaby człowiek współczesny koncentruje swoje libido i rozciąga zasięg własnego ja. A ponieważ jego poczucie rzeczywistości znacznie się zmniejszyło, a stosunek do przedmiotów stracił swój charakter obiektywny, człowiek uległ dziwnemu pomieszaniu tożsamości i zaczął w rezultacie traktować auto jako przedłużenie własnego ciała”. Liczne zjawiska obyczajowe potwierdzają prawdziwość tezy o procesie identyfikowania się człowieka z samochodem. Psycholog Dino Oriella zwraca uwagę na przesadną troskliwość właścicieli darzą swoje wozy. „Są ludzie — mówi on — którzy przez lata chodzą z portkami zębami, ale za żadne skarby świata nie wyjechałby na miasto niewyczyszczonego autem, który reagują na najmniejsze uderzenie w karoserię jak na zadany im osobliście fizyczny cios. Co więcej zaczynają wszyscy zwracać uwagę na zgarzanie zębów i zgarzanie do potocznego języka i pomagają nam wyrażać nasze uczucia, doznania i stany duchowe”.

GDZIE TKWI GROZA?

Liczba samochodów na świecie nieustannie wzrasta i to w zawrotnym tempie. I tu tkwi największe niebezpieczeństwo. Prawdziwa groźba dla ludzkości stanowi bowiem nie tyle auto jako sym-

bol prestiżu, narzędzie ekshibicjonizmu, rozszerzenie osobowości, ile jako siła nieproporcjonalnie wielka w stosunku do naturalnych możliwości człowieka. Człowiek za kierownicą to nie jest wcale posiadacz przyjemnej i użytecznej zabawki, ale pilot bardzo groźnego pojazdu, obciążony poważną odpowiedzialnością moralną, potencjalny nosiciel śmierci i katastrof. Co pięć minut na szosach świata ginie jeden człowiek. Narodowa Rada Bezpieczeństwa USA ogłosiła, że samochód stał się obok raka i chorób nerwowo-naczyniowych najczęstszą przyczyną śmierci. A na marginesie warto zauważyć, że o ile wymienione choroby pochłaniają przede wszystkim ludzi starszych, to śmierć drogową godzi przeważnie w najbardziej dynamiczną i produktywną część ludności, między 20 a 45 rokiem życia.

Jakie przyczyny zadecydowały o tym, iż motoryzacja staje się zjawiskiem coraz bardziej niebezpiecznym i zagrożającym ludzkiemu życiu? Jedną z głównych przyczyn jest niewątpliwie niski stopień zdolności kierowców. Kierowca musi podjąć zadanie, do którego wychowanie i tradycja wcale go nie przygotowały. Mając przed sobą mechaniczny mikroświat musi przezwyciężyć jego obcość, wyzwalając do maksimum własne zdolności.

alkoholicy i różnego rodzaju anormalni osobnicy. I to wystarczy aby powiększyć liczbę potencjalnych wypadków i nadać ruchowi drogowemu jeszcze bardziej nerwowy i groźny charakter.

Zdaniem profesora Trabucchi, dyrektora Szpitala Psychiatrycznego i Instytutu Medycyny Ruchu Drogowego w Weronie, człowiek prowadzący auto żyje w stanie silnego i niebezpiecznego napięcia. „Kiedykolwiek siada za kierownicą — wyjaśnia on — znajduje się już w stanie przemęczenia. I to z wielu przyczyn. Zabrakło mu nieodpornych okresów odpoczynku, nie potrafił wykorzystać czasu wolnego, życie, które prowadzi, nie zaspokaja go. Jego zmęczenie nie ma więc charakteru fizycznego. Jest to przemęczenie nerwowe, zmęczenie, które na dłuższą metę niszczy tkanki i znacznie osłabia organizm. Zmęczenie, które by można określić jako antyfizjologiczne, ponieważ przewodzi prawu równowagi między zużyciem energii nerwowej i energią mięśniową, fundamentem istnienia człowieka. I taki właśnie człowiek zasiada za kierownicą pojazdu mechanicznego”.

SUROWE ZWIERCIADŁO CZY PRZEKŁĘTY ZWIAZĘK?

Warunki jazdy nie dają mu chwili wytchnienia ani

biem, zjawisko to przyczynia się w znacznej mierze do nadania ruchowi kołowemu jego tak groźnego i niebezpiecznego charakteru. Liczną kierowcy upojeni nagle potęgą maszyny, traktują ją jako środek okazania swej przewagi, swej woli panowania i dominowania. Znajduje to swój wyraz w szaleńczych wyścigach na szosach i rozwijaniu maksymalnej upajającej szybkości. Inni, zdaniem



prof. Trabucchi, szukają w maszynie „rozładowania swych wewnętrznych konfliktów”. Siadają za kierownicą zniechęceni codziennymi niepowodzeniami, rozdrażnieni nienaturalnymi przymusami i wówczas pragną wyrzucić z siebie, wyładować całą nagromadzoną w sobie agresywność. Objawia się to w różny sposób, niedozwolonym używaniem klaksonu, umyślnie spowodowanym przeraźliwym piskiem opon na zakrętach lub przy hamowaniu a także jazdą o szaleńczej szybkości. Jeszcze inni traktują swój pojazd jako środek ucieczki od codziennego, realnego życia. „Osobnicy ci — mówi prof. Leonardo Ancona — znaleźli się za kierownicą wpadają w rodzaj



automobilowa

przystosowania się. Znalazłszy się za kierownicą swego wozu musi stłoczyć się kłębiem myśli całkowicie zrosniętym z maszyną a zarazem czujnym, dynamicznym i świadomym siebie.

IDEALNY KIEROWCA



Zgodnie z optymalnymi wymaganiem kierowca musi przede wszystkim błyskawicznie, tzn. maksimum w ciągu 40 setnych sekundy reagować na bodźce zewnętrzne i musi w rezultacie ciągłych ćwiczeń, zautomatyzować te reakcje niczym niezawodny robot. Musi mieć zarówno uwagę rozdzielną jak i zdolność koncentracji. Musi być chłodny i opanowany, by umieć w ciągu sekundy zaplanować nad wyjątkową sytuacją. Musi mieć umiejętność dokładnej oceny odległości i świetny słuch chwytający wszelkie odgłosy dostrzegające niebezpieczeństwo. Musi posiadać regularnie działający system nerwowy, bez gwałtownych zmian lub zakłóceń świadomości. Musi mieć zdrowe serce i prawidłowo funkcjonujący układ krążenia z uwagi na różne sytuacje np. nagły strach, powodujące poważne zaburzenia fizjologiczne organizmu aż do anafilaktycznych wstrząsów. I musi być wstrzymany na zmęczenie, albowiem właśnie ono osłabia refleksy, przynosi zdolność orientacji i instynkt samozachowawczy i daje w rezultacie opłakane skutki.

A JAK JEST W RZECZYWISTOŚCI?

Ale któż spośród tych, którzy siedzą za kierownicami samochodów spełnia wszystkie te postulaty? Prawie nikt z wyjątkiem małej grupy kierowców wozów wyścigowych i nielicznych asofornych zawodowców. 97 proc. faktycznych kierowców, to ludzie tylko częściowo odwołujący wymienionym warunkom. Przez siła egzaminacyjne przejeżdżają prawie wszyscy, a więc i epileptycy (epilepsja wykręca badanie elektroencefalograficzne), chorzy na serce, neurotycy, naciśnieniowcy, narkomani, pół-

możliwości trwałego skupienia myśli. Ulega on zarazem nieustannemu bombardowaniu różnymi nienaturalnymi bodźcami takimi np. jak wstrząsy maszyny o dużej prędkości, wibrujący warok motoru, demerujący rytm wyłączenia i przerywania świateł na zadrzewionej drodze. W tej sytuacji zmęczenie nie maleje, ale rośnie jeszcze bardziej i zaczyna objawiać się szeregiem różnorodnych symptomów. Na przykład sennością, obniżeniem zdolności oceniania odległości, zwolnieniem reakcji. Wyobraźcie sobie teraz wszystkie te tragiczne konsekwencje do jakich to może doprowadzić.

A więc auto jest zwierciadłem, które w pełni ujawnia brak równowagi fizjologicznej, znamiennej dla współczesnego człowieka. Ale to nie wszystko. Człowiek ma tendencję do odzwieriedlania w jeździe, w swoim sposobie prowadzenia własnego życia wewnętrznej i charakteru. A to pociąga dalsze konsekwencje. „Człowiek za kierownicą zachowuje się dokładnie tak jak w życiu” twierdzą od 30 lat psychiatrzy amerykańscy. I to jest największe przekleństwo jakie może dotknąć współczesnego człowieka, przekleństwo integracji z maszyną pośniętej aż do utraty samości i potwornej symbiozy człowieczomechanicznej w szaleńczej biegu ku ucieczce i katastrofie. Ta symbioza daje się zresztą łatwo psychologicznie wytłumaczyć. Człowiek otrzymuje maszynę, która niesłychanie potęgą jego ograniczone siły fizjologiczne, upaja się nią, gubi równowagę emocjonalną i wreszcie zaczyna tracić kontrolę, która mogłaby zniżyć uczynić stałowego centaury. Podświadomie rozluźnia hamulce własnej „osoby społecznej”, pozwalając ujawnić się wszystkim ambicjom, konfliktom, tj. zawodom dnia codziennego. Błyszczy karoseria staje się się wówczas zwierciadłem jego zachowania w normalnym życiu, a kierownictwo ośią, wokół której krąży głębokie i mroczne siły jego psychiki.

NARODZINY NOWEJ CHOROBY

Zdaniem psychologów i lekarzy badających ten pro-

ekstazy. Upajają się możliwością osiągania coraz większych szybkości. Wydaje im się, że uciekają od realnego świata, by znaleźć się w innym, który obdarzył ich magiczną wszechmocą”.

Zespół wszystkich tych anormalnych zjawisk przybiera postać jakiejś groźnej choroby, choroby motoryzacyjnej. I właśnie objawy tej choroby są w 75 proc. przyczyną wypadków drogowych. Według statystyk włoskich tylko 6 proc. ogólnej liczby wypadków spowodowane zostało defektem lub awarią wozu, 44 proc. — nieprzeżeganiem przepisów ruchu, 34 proc. — nieostrożną jazdą. A szczególnie przyczyną? Właśnie: „nie dawał pierwszeństwa innym pojazdom”, „nie zahamował na czas”, „nadmierzona szybkość”. Jedną piątą liczby wypadków jest właśnie wynikiem rozwijania nadmiernej szybkości.

PIRACI W OCZACH PSYCHOLOGA



Statystyki podkreślają również istnienie grupy kierowców, predysponowanych do wypadku, osobników, którzy nader często wchodzą w kolizję z przepisami ruchu i powtarzają błędy, nieuchronnie prowadzące do katastrof. W USA zostali oni ochrzczeni mianem chronicznych violatorów (chronicznymi gwałcicielami) lub też demonami drogowymi (piraci drogowi). Zaś ich ponura inklinacja określona została naukowo jako accident prone ness (skłonność do wypadku). Powstała w związku z tym teoria psychologiczna głosząca, iż osobnik skłonny do wypadku, to nie osobnik pechowy, ale człowiek którego harmonijna struktura osobowości ma jakas rysę, jakies wewnętrzne peknienie. I to odbija się w jego zachowaniu przy kierownicy. Różne badania prowadzone przez Medical Research Council i specjalne kliniki dowodzą, iż istotne przyczyny tego peknienia tkwią w niewłaściwym wychowaniu, we frustracji emocjonalnej i socjalnej, w nagromadzonej w związku z tym agresywności

TADEUSZ PAPIER

PRAWDZIWE PRZEDMIĘSCIE

czy sen O PRZEDMIĘSCIU?

Bardzo niepokojąca książka ta „Sześcienna cisza zmierzchu” Jerzego Waleńczyka. Nota bibliograficzna zaznacza, że jest to debiut prozatorski autora (poety) — tom zawiera opowiadania, które pochodzą z roku 1959. No więc: opowiadania. Podporządkowane, tak można sądzić na pierwszy rzut oka, konfrontacji dnia wczorajszego z dzisiejszym. I pozostawione (też można sądzić) wątkami autobiograficznymi. „Czy dogonię dzieciństwo wzruszeniem misternym, czy ułożę mozaikę z cierpienia i radości minionych, czy splecę opowieść o latach najpiękniejszych?” „Ciekawo mi odwracać głowę i patrzeć w moje dzieciństwo. To, co stamtąd miałem, to, co zapomniałem i co zapomnieliem, łączę się z późniejszymi doświadczeniami, aby, schodząc w głąb mojego ja, z ukrycia kształtować mnie już innego, biegnącego dalej i dalej”. No więc na pierwszym planie te wszystkie rekwizyty krajobrazu przedmięscia z lat dzieciennych, podwórko fabryczne z zieloną, wysoką bramą i dla kontrastu — zniszczony kirkut, jaki jest dzisiaj, miejsce nie tylko przygody dla bohatera, ludzie dawni i dzisiejsi, chory Witek, który tak należy do krajobrazu jak komin fabryczny, chory człowiek, który był strachem ulicy i nie miał własnego życia, nie miał własnej kobiety, nie miał własnego zawodu, stary rewolucjonista odwołany na przyszłość autobusowym, sprawy dalekie i bliskie, stare i nowe, które sąsiadują z sobą, i jeszcze poeta, ten, który pisze, przede wszystkim, ten, który pisze, i to z powodu niego oglądamy to dziwne przedmięscie, uduchowione (upoetyzowane) wizje świata.

Ale właśnie. Które przedmięscie nie jest uduchowione? Które nie może być uduchowione? Proszę jednak porównać: „...dobrze mieć przed sobą taką linię prostą, nie powycinaną, dosyć tych powyginanych linii, zębatych, nerwowych, skaczących. Tak, potrzebna mu była taka prosta biegnąca linia. Czy mógłby ja mieć dawniej? Nie wiadomo. Może tak. Co byłoby teraz, gdyby ją miał wówczas. Kto wie, co byłoby. Na pewno byłoby inaczej. Ale nie mógł wiedzieć jak...”. I następnie: „Ponieważ jednak stało się to, co się miało stać, było w ich postawie coś z poróżnienia się z losem, a kiedy przyszły dzieci, przez jakiś czas było zupełnie dobrze. Dokonali nawet podziału na dzieci, widząc, że Małgorzatka jest bardziej przywiązana do niego...”. Nauzylieli nie trudno odszukać. Raz Butor, raz Dabrowska (uprząszczając oczywiście). Tak można by sądzić. Ale na pewno nie Dabrowska. Na pewno nie tradycyjna proza i na pewno nie Butor, mimo pewnych (czasami) zewnętrznych podobieństw, mimo braku składników, które decydują o charakterze klasycznego opo-

wiadania, braku fabuły w jej klasycznym kształcie, bohatera, i gdzie, jak pisze Natka Sagrante, „autor staje się bohaterem”, inne zaś postacie „pozbawione własnej esencji”, są jedynie zwiadami, odbiciem, odmianą czy funkcją tego autorskiego ja. Może to jest najbliższe pokrewieństwo, ale Waleńczyk jest poetą i jego opowiadania nie są opowiadaniem, to są spojrzenia poetyckie, autor może się zapytać, co się zmieniło na tym przedmięsciu w ciągu

10 GAWĘDA INTELEKTUALNA w ZLP

Dnia 28 listopada br. odbyła się w lokalu łódzkiego oddziału ZLP dyskusja z okazji „Gawęda intelektualna”. Była ona swoistą formą uczczenia 45-lecia Wielkiej Rewolucji Październikowej. Na jej treść złożył się referat Anatola Sterna, znanego poety i pisarza w Polsce tłumacza W. Majakowskiego pt. „Nowa fala w najmłodszej poezji radzieckiej”. W ożywionej dyskusji na temat blisko półwiecznego dorobku literatury radzieckiej za bierali głos: znany warszawski krytyk Ryszard Matuszewski, prof. Aniela Kowalska, znana aktorka i prof. PWST Hanna Małkowska, Wanda Karczewska, Marian Piechal, Jan Huszcza, Konrad Frejdlch i Roman Loboda.

ostatnich lat, może tak zapytać i nie odpowiedzieć, i w tym pytającym spojrzeniu tkwi niepokój, w tym świecie poetyckim i solipsystycznym, który się przeżywa jak sen, i kirkut jest snem, i podwórko, i szosa prosta, u której kresu czeka na bohatera „stara kobieta”, kto odróżni dzień wczorajski od wczorajszego snu? I przedmięscie i jego bohaterowie toną w poświacie snu, nawet wtedy, kiedy są określone społecznie i psychologicznie, służą tylko dla zaakcentowania doznań autorskiego „ja”, jako środki ekspresji, ale czy mamy prawo powiedzieć, że z tego powodu obraz przedmięscia jest mniej ciekawy?

Jerzy Waleńczyk, Sześcienna cisza zmierzchu, Wydawnictwo Łódzkie, 1962.

szukającej jakiejś mocnej kompensaty. Jest to jeszcze jedno potwierdzenie tezy o istnieniu głębokiej wiedz między strukturą osobowości człowieka a jego zachowaniem się przy kierownicy.

A WNIOSKI?

Wszystkie wspomniane tu przez nas fakty czynią z ruchu kołowego niebezpiecznym, zagrażającym ludzkiemu życiu zjawiskiem. Mówi się wprawdzie o zastrzeżeniu przepisów, o poprawie stanu dróg i jakości pojazdów. Ale to nie rozwiązuje jeszcze całej tej sprawy. Wydaje się, że rzecz najgroźniejsza, a przecież nierozłączna z zjawiskiem, to nagromadzonej w związku z tym agresywności

jest obecność owego centaury z krwi i kości, scalonego z mechanicznym pojazdem a zarazem noszącego w sobie całe znużenie fizjologiczne, zakłócenia psychiczne i anomalie współczesnego człowieka. Centaura, który rozpacza, że nie może być stałowym i nieodczuwającym, a w istocie jest biedną istotą ludzką dręczoną wewnętrznymi konfliktami, napięciami, frustracjami, poddana nienaturalnemu rytmowi współczesnego życia. I coraz potężniejszy a zarazem coraz bardziej nerwowy, niezdysonansowany i niebezpieczny ruch kołowy odzwierciedla te wewnętrzne niepokoje.

Według „Epoki”

TRZEBA SIĘ SPIESZYĆ

Polskie miasteczka zamieszkuje pół miliona młodzieży. W łódzkich żyje przeszło pięćdziesiąt tysięcy. Lecz młodzieży będzie tam coraz więcej. Wielkie miasta nie są w stanie wchłaniać tysięcy absolwentów, które corocznie wypuszczają uczelnie i szkoły zawodowe. Na tomiast zapotrzebowanie na kadrę inteligentno-techniczną, wykwalifikowane siły za wodowe wrażliwe na terenie. Następuje odwrócenie procesu: miejsce ucieczek zastępują powroty na prowincję. W naturalnej konsekwencji gospodarza a wraz z nią kulturalna przebudowa prowincji została już rozpoczęta. Pozostaje jednak jeszcze kwestia niezmierzona: czas.

„Chcemy, wykorzystując wszystkie przeznaczone przez państwo środki, proces aktywizacji małych miast przyspieszyć, w większym niż dotychczas stopniu wykorzystując olbrzymie siły społeczne” — postulował Jerzy Turek, sekretarz KC ZMS w referacie, na niedawno odbytym Plenum KC ZMS, poświęconemu wyłącznie „wielkim sprawom małych miast”.

Organizacje młodzieżowe nie mają zamiaru czekać. ZMS w miasteczkach, ZMW w wsiach organizują własne wspólne ruszenie. Na prowincję i przeciwko prowincji. Przeciwno całej, wciąż rozległej Polsce powiatowej.

OŻYWIĆ ZNACZY: WPRAWIAĆ W RUCH

W ciągu ostatniego pół roku ZMS zanotowało — ponad 800 odczytów i spotkań z literaturą, dziennikarzami, aktorami. W ramach akcji „Lato-62 na imprezach masowych w województwie łódzkim około 130 tys. uczestników. ZMS posiada: około 100 zespołów artystycznych: muzykanych, pieśni i tańca, recytatorskich, teatralnych, 21 Dyskusyjnego Klubu Telewizyjnego, 3 Dyskusyjne Kluby Filmowe.

Dane liczbowe nie są komplementarne. Ale — po jakimś czasie potrzebne nam dane? ZMS nie przejawia na szczycie większych chęci do przeobrażenia się w placówkę kulturalną, moźnolnie wypracowującą kwartalne sprawozdania dla swoich powiatowych szczebli. Z kolei ja nie zamierzam malować o-kolicznościowej laurki i ka-nonizować ZMS na patrona od spraw kultury.

Jednak naczelnej zasadzie zetemesowskiego działania — prawa pierwszeństwa do aktywizacji kulturalnej i obywatelskiej prowincji — nie można odmówić celowości. Jest to zasada dynamiki uodowodniona przez Newtona: ożywiać — znaczy wprawiać w ruch. Siła jest tu — trzydziści cztery tysiące młodzieży zorganizowanej, w tym kilka tysięcy młodej inteligencji. Jest też bezwładna masa w stanie spoczynku: prowincjonalny zaścianek, gnuśne miasteczka oscylujące między kościołem a gospodą ludową. Ale prawo dynamiki mówi wyraźnie: siła może wprawiać w ruch ciało będące w spoczynku. Więcej — siła potrafi zmienić kierunek tego ruchu.

Imprezy, organizowane przez ZMS na terenie województwa w czasie lata 62 miały na celu przewrócić do góry nogami ustalony porządek świętych niedziel: deptakiem na sumę, deptakiem z sumy, deptakiem do knajpy. Lato-62 przebiegało w większości powiatów hałaśliwie — czego wcale nie należy poczytywać za minus — i z rozmachem. Dziesiątki najróżnorodniejszych imprez: wycieczki, zawody sportowe, rajdy, biwaki, pelen. Koncerty amatorskich zespołów artystycznych od muzycznych do eksperymentalnych Teatrzyków Poezji — na placach i ryneczkach przestraszonych miast. Improwizowane na poczekaniu zgadywanki, konkursy na piosenkę, recytację. Nie o pozę, nie o modę tu szło, lecz o nauczanie młodzieży dobrej zabawy. W Sieradzu impreza „Młodzież swojej stolicy” zgromadziła ponad dwadzieścia tysięcy uczestników. W Spale na Województwo Dniu Młodości — trzydzieści tysięcy.

I żadnych burd, chuligaństwa. Idealny porządek, prawie jak na koncercie w filharmonii. Komenda MO złożyła specjalne podziękowania.

EWA OSTROWSKA

WIELKIE SPRAWY MAŁYCH MIAST

nie organizatorom Dnia Młodości, bo jak Spala Spala, tak jeszcze takiej spokojnej niedzieli nie przeżywała. Trzech uczestników — czyli w proporcji: jeden na dziesięć tysięcy popelnioło przestępstwo zakłócenia porządku publicznego. Taki już nie typowy był ten Dzień Młodości, lecz wykazał prawdę, w którą dosyć trudno jest niektórym uwierzyć — młodzież potrafi się bawić, nie koniecznie w rzucanie fińskim nożem do żywego celu.

PIERWSZA SZCZĘŚLIWA LICZBA: TRZYNAŚCIE

Drugą, naczelną zasadą pospolitego ruszenia na prowincję jest ciągłość działania. Nic łatwiejszego, jak

organizować imprezy kulturalne dorywczo, powiedzmy — latem, przy sprzyjających warunkach. Zmora zaczyna się, gdy lata zabraknie — i co teraz? A przede wszystkim — gdzie?

Tym bardziej że ZMS czyni następne generalne założenie: praca i zabawa, treść i rozrywka muszą współdziałać ze sobą, utrzymywać się — bez skrajnych odchyleń — we wzajemnej równowadze. Nie tylko wprawić w ruch, ale przede wszystkim umieć nadać i utrzymać kierunek tego ruchu.

ZMS prowadzi Powszechne i Robotnicze Uniwersytety, Wieczorowe Szkoły Aktywu, różne olimpiady quizowe, mające na celu popularyzację dobrej książki i czytelnictwa, zakłady, konkursy fotograficzne (własnie w Łasku nastąpi otwarcie wystawy wojewódzkiej prac amatorów fotografików, która ruszy później w obłęd po województwie), szkolne koła młodych polityków i racjonalizatorów, koła zainteresowań w grupach ZMS itp.

Lecz to wszystko za mało. Nie zaspokoi także potrzeb miasteczek trzynastie istniejących klubów zetemesowskich. Co prawda, ma być ich więcej. I prawdą jest również, że kluby stały



Fot. K. Łuczak

świadomym macierzyństwem. Albo w bibliotece publicznej wypożyczyć znakomitego Kraszewskiego, albo jakiegos innego „klasyka”. Albo na dals do remizy strażackiej, gdzie bez trudu można złapać noż w brzechwu, albo stracić parę przednich zębów. Przeciwnie, widać się — nie głupim. Przeciwnie, widać się — to znaczy żądać zmiany, a to znaczy starać się wprowadzić coś nowego, a to znaczy — narazić się: wiadom szkoly, miasta, księdzu proboszczowi, sąsiadom z ulicy — wszystkim. Narazić się, byż szan sy powodzenia. Tego skutku bezwzględnej jednostajności nie jest w stanie zmienić. Przy najmniej jeszcze przez długie lata. Tu potrzeba bomby. Tu wszyscy się boją. Czego? — A bo ja wem? — Władz miasta, księdza proboszcza, sąsiadów. Przyszedłem tu dobrowolnie. Miałem tam przeleć również mieszkała ludzie. A ludzie mają wspólny leżek, dogadują się. — Nieprawda. Dogadają się można, ale na tematy: kto z kim, kiedy, dlaczego i ile razy. Kto co gotuje na obiad, co gotował, co będzie gotować. Kto so bie palto przencował ze starego, a kto uszył nowe i gdzie kupił materiał. Schemat nierni szczytny. Nie przelećko niemu nie da się zrobić.”

Nie jestem pewna, czy dokładnie powtarzam słowa młodego, choć notowałam je uważnie. Lecz ich sens był właśnie taki: wszelki sprzeciw jest pracą Syzyfa.

Nie jestem również pewna, czy mówił tak ten młody, który mieszka w Belchatowie, czy ten, który mieszka w Szczercowie, czy ten, który mieszka w Nowym Mieście. Być może — poulatało mi się. W każdym razie pewna, wcale liczna część młodzieży, wciąż jeszcze trwa na pozycjach rezynacji i rozgorczyenia, ha muje więc ruch w przód.

DLACZEGO — PASYWNI?

Jeżeli ZMS tyle dobrego zdziałał — skąd się wywodził ta kategoria zawiedzionych?

Jest niewielkie miasteczko w którym działa grupa ZMS przy cukrowni. Plany produkcyjne wykonuje, przodu je w zakładzie. Ale plany i praca zawodowa, to rzecz na pewno najważniejsza, ale czy mniej ważna jest tzw. kultura na co dzień? Zbuntowała wana grupa ZMS postanowiła działać w miarę swoich możliwości. Świecić więc zamieniła w miejsce, które przeciągało — starych i młodych. Wybudowała boisko do siatkówki. No, i wreszcie coś zaczęło się ruszać, działać i zmieniać. Gdzieś można było pójść, ot, chociażby właśnie do tej świetlicy, która przestała być ru pieciarnia. Ale — w niedługim czasie boisko zostało za sypane węglem. Co tam! Młodzi chwycili znów za łopaty, i boisko wybudowano w innym, bardziej neutralnym miejscu. Nowe boisko po raz drugi uległo oficjalnemu zniszczeniu. Aby zaś nie było wątpliwości, jak dyrekcja cukrowni rozu mie kulturę, świetlicę zakła dową obrócono na składnicę narzędzi. Aby zapobiec formalnemu precedensowi, prze myśla dyrekcja zostawiła do użytku młodzieży komor niczy kąt, wydzielając go

przepiernikiem z desek i poz bawiając dopływu ogrzewania. Z kolei — rada zakładowa, jakoby solidaryzując się z polityką dyrekcji, wypożyczyła instrumenty muzy czne bliżej nieznanym osobom. Po instrumentach wszelki ślad zaginął. Zaś z kolei dyrektor cukrowni nie przyjmuje interwencji w podobne „blahych” sprawach.

Miasteczko nazywa się WIELUN.

Co więc dziwnego, że w konsekwencji młodzież powiada — „Prowincja schemat niezniszczalny. Zadać zmiany, znaczy — narazić się wszystkim bez szansy powodzenia”. Chcę więc powiedzieć, że pewna część podstaw zmiechenia bierze się z takich właśnie sytuacji.

NIE CHCEMY SIĘ GODZIĆ

Chyba nadzieje zresztą nie wstępuję w tak jaskrawej formie tępą, niszczycielską siłą biurokracji — jak właśnie w małych środowiskach miasteczkowych, gdzie kierownik Domu Kultury, pracownik Rady Narodowej, dyrektor miejscowego zakładu produkcyjnego są w hierarchii stanowisk „pierwszymi po Bogu”.

Zurzednicza instytucja, placówki kulturalne dzielnie bronią panujących stosunków stagnacji. Zamiast sprzyjać społecznym inicjatywom — często tępią je. Zamiast pomagać im — często ścigają jak przestępców. Ambicje przeróżnych zakładów pracy — egoistyczne i ciasne, nie wychodzące poza czubek własnego nosa — traktują działalność kulturalną jako wąską dziedzinę na użytek swojego wyłącznego podwórka. W dodatku rozpisując je na etaty i statystykę. Temu wszystkiemu towarzyszy obojętność tradycyjnej części środowiska małomiasteczkowego. Strach przed eksperymentem, wszelką nowością, spycha życie kulturalne w ciasny i nierzadko ślepy zaułek, gdzie schnie do dna.

Aktywizacja jest ładnie i dumnie brzmiącym słowem. Postulat bujnego rozwoju kultury, który za nim się kryje — nie może zostać spełniony — jeżeli jedyną siłą, dominującą w układach prowincjonalnych — będą instytucje obwarowane dżunglą biurokratycznych i nierzadko przestarzałych przepisów.

„Nie chcemy się godzić z faktem — powiedziano na wojewódzkiej naradzie w KW ZMS — że w Nowym Mieście czy Głownie otwiera się nowa z kolei knajpka, a my jesteśmy bezzilni”.

Ale tylko retorycznie nie zgadzać się, to za mało. Za mało też poprzestać na spon tanicznych odruchach buntu. W samym ZMS musi szybko nastąpić centralizacja wszystkich sił młodzieżowych, aby z rozmachem projektowany plan zamachu na prowincję pozwolił się zrealizować.



„Chleb trudny jest kupić już w godzinach popołudniowych. Sklepy spożywcze otwarte do osiemnastej. Później można chodź po proszbie, albo chleb zastąpić wódką. Ta sprzedaje się w specjalnym sklepie do dwudziestej, drugiej. — Tak wygląda c nas aprowizacja. Satisfakcja z pracy? — Śmiech na sali! Wiadomo, że do końca życia będę uczył w klasach od czwartej do szóstej roz wiazywania ułamków zwykłych i dziesiętnych. Jak się żyje? — Ot, tak: od niedzieli do niedzieli. Od święta do święta. Co się robi? — A nie. Po prostu nie. Czekam na koniec lekcji, na koniec dnia, tygodnia, miesiąca. Co można robić? — Nie. Po prostu nie. Pójść do kina raz na tydzień. Raz na kwartał na paskudne sztuczki jakieś przyjeźdnego teatru. Albo na odczyt do DK „O

NAD PROSNA

I
Kiedy przyjechałem do Wieruszowa, fale Prozny przynaglały ostrym wiatrem podskakiwały pod mostem i opadały pośpiesznie — szkliste pagórki wypychane w dno przez niewidzialny paluch.

Stałem na moście usiłując sobie przypomnieć — skąd ja znam ten nerwowy rytm — skróconą pulsację olbrzymiego serca drgającego tysiącami naczyn. Nasunąłem w myśl parapeł okna na balustradę mostu — ulica Piotrkowska — stałem tak przed tygodniem przy oknie w chwili gdy martwa natura ulicy Piotrkowskiej ożyła dla mnie — dostrzegłem jej ruch, nie te odrębne osobnicze przechody ludzi — nie te odrębne maszynowe przebiegi — ulica Piotrkowska pulsowała jednolitym rytmem ludzi i maszyn — „Ona żyje!” — pomyślałem — podobnie żyła rzeka Prozna.

Przeszedłem most mijając w zaroślach reszki lawek, z których skradziono wszystko prócz cementu. Stałem zapatrzone w nieduży kurhan porośnięty zieleńcem, zaspany okrucinami cegieł. Stara kobieta schodziła z wiadrom do Prozny po stronnych schodkach.

— „Proszę Pani i to ma być ten zamek, to mają być te ruiny zamku?” Mój przyjaciel, wybitny literat mówił mi w Łodzi — „Pamiętaj, Bernardzie, gdy będziesz w Wieruszowie — stań nad Prozną i popatrz sobie na ruiny zamku” — Kobieta natchniona podjęła moje rozczarowanie i pogardę. Postawiła wiadro i podjęła rekawiec. „Kiedyś była tu woda wszędzie, woda naokoło — rowy z wodą. A ci co byli w zamku bili się ze Szwedami, a kiedy uciekali zabrali się we dwie łódzie i popłyneli tą rzeką — Prozną, popłyneli gdzieś tam — bo było ich mało, by bronić tego zamku taki był wielki ten zamek”.

Łagodnym, brukowanym zбочem wchodziłem do Wieruszowa — stolicy małego zamieszkanego przez trzydzieści pięć tysięcy mieszkańców jednego z powiatów naszego województwa. W samym Wieruszowie skupiło się około czterech tys. ludzi. Dużo tu młodzieży. Wszedłem do Inspektoratu Oświaty na zebranie nauczycieli szkół podstawowych. Większość nauczycieli, to ludzie młodzi.

II

Przez okno widać było Wieruszów — nieduże domki rynku — pusty skwer z lawkami. „Po co jeździsz do tylu miasteczek?” — pytał mój przyjaciel teolog, znawca dusz ludzkich — „Wystarczy poznać jedno miasteczko — wszystkie są do siebie podobne”. „To nieprawda, mądry teologu”, myślałem patrząc na skwer rynku

Wieruszowa. „Każde miasteczko jest inne i tutaj dobrze, że widzę przez okno te domki. Lepiej będzie mówić o Wieruszowie patrząc na Wieruszów.”

— Nauczyciele mówią o nie dostatkach Wieruszowa i powiatu. Co robić z tymi, którzy kończą klasę siódmą? Należni sądzić, że wiedza proces nauczania zmierza ku końcowi — a w rzeczywistości następuje jego drugi i ważny etap — teraz właśnie młodociana jednostka spობi sie wedle przypadłego jej kierunku do ogólnohumanistycznej lub technicznej „dojrzałości”. W Wieruszowie jest pod tym względem bardzo



W miasteczku — jedno Liceum Ogólnokształcące, jed na wielobranżowa Zasadnicza Szkoła Zawodowa — w powiecie kilka szkół przysposobienia rolniczego, oto kompletna lista możliwości ślednioklasisty. Teoretycznie listę tę ma znakomicie powiększać współpracownik trzech powiatów — Wieruszowa, Kłuczborka i Kępna. Jednak z trzech współpracujących powiatów, Wieruszów to partner najuboższy — zresztą praktyczna wykładnie trojlistności powiatów stanowią związki gospodarcze. Współpraca szkolna praktycznie nie istnieje — to znaczy, że szkoła zawodowa Kłuczborka i Kępna są i praktycznie i teoretycznie zamknięte dla dzieci Wieruszowa. Często dzieci „zdają egzaminy w szkołach zawodowych sąsiednich powiatów po to, aby dowiedzieć się, że muszą ustać miejsca równorzędnych, zamieszkałym w tych właśnie powiatkach partnerom. „Trudno” — mówią im — „ale oni mają pierwszeństwo, umiecie tyle co oni, ale oni tutaj mieszkają”.

Dzieci z Wieruszowa szukają miejsca w innych szkołach, innych powiatkach. Można przecież teraz po „pomysłnym” egzaminie w pierwszej szkole ubiegać się o przyjęcie do innych szkół bez zdawania egzaminów.

O świetle koło zaród stają dudniące ciągniki z państwo-

wych i spółdzielczych gospodarstw. Dzieci wybierają z chałup i wdrapują się na ciągniki. Czternastoletki pomagają trzynastoletkom. „On ma już piętnaście, piętnaście!” — wołają o najmłodszym dwunastoletnim.

Kto by nie pojechał — od razu, bez szkoły, jak dorosły. — do roboty, a zarobić można, powiadała sto złotych dziennie — żeby tylko małym nie być, żeby już nie być małym.

W gabinecie Inspektoratu Oświaty stoja: uboga kobieta, mały chłopiec i urzędniczka z innego Wydziału. „Nie, nie najpierw ja opowiem — potem pani!” — mówi urzęd-

niczka z innego Wydziału — „Widzę, że pani jest wdową” — „Mam dwóch małych chłopców” — „proszę nie przezywać, przecież to ja miałam pierwszą żonę”. Pani powie kiedyś ja skończyć”. „Widzę, że pani wzięła zapomnienie”. „Nie brałam ja zapomnieć, nie brałam i palia on nie ma — jak ja go na zimno do szkoły puszczę”. „Widzę, że pani złożyła podanie...”. „Nie składałam żadnego podania, nie składałam”. „Widzę, że pani była już tutaj...”. Chłopiec przysuwa się do biurka. — „Trzeba złożyć podanie mamie” — mówi do matki głosem i wyraźnie.

III

Znowa jestem na Rynku. W kiosku „Ruch” pytałem o książki. Gawędziłem coś z sympatyczną sprzedawczynią. „Niech pani mi powie coś ciekawego — chcę o Wieruszowie napisać”. Sprzedawczyni milknie. „Tutaj wszystko w porządku, a książek więcej niż u mnie znajduje pan w księgarni koło kościoła”.

Nie rozumiem tego tekstu przed człowiekiem piszącym — może dlatego, że nigdy nie byłem publicystą — pisanie poety nikt się nie lek. Poeta jest bezbronny i wolno z nim robić wiele rzeczy bez karnie — tak się przynajmniej wydaje głupcom. Sprzedawczyni leka się publicysty — może codzienne liczenie

gazet, branie ich do rąk, sprzedawanie jest źródłem nieufności? Te gazety milczą dla niej dopóki nie mówią o niej, są w jej pracujących rękach jak cegły — co powiedziałby murarz o gadających cegłach? Faktura ludzkiej pracy, jej drobne, stale składniki robia człowieka, nie miał racji Feuerbach — człowiek nie jest tym co je, jest raczej tym co robi, jest tym gdzie mieszka.

Wieruszów to małe miasto, w którymkolwiek stronę postawisz kilkadziesiąt kroków — dojdiesz do pół odciekłych z reszki bruku i malomiejskich budynków. Jest tam Dom Kultury (w długotrwałym remoncie), jest kino wyświetlające w niektórych dni film z Fernandem, są nade wszystko szkoły — dwie znakomicie usytuowane szkoły. Jedna z nich — Liceum Ogólnokształcące — umieszczona jest w gmachu, którego architektoniczne piękno wynika ze strasnie śmiałej myśli — myśli o higienie i wygodzie. Pelen podziwu krajobraz wokół tego nowoczesnego kolosa zuchwale uświetnia urody — doznawałem przez chwilę dziwacznej tęsknoty za tą szkołą — pierwszy raz przysnęło mi i zawstydzilo przekonanie o szpetocie mojej poczwieral budy w Łodzi przy ulicy Kilińskie-go, a potem tej koła Parku Sienkiewicza. Tak dławiony poczuciem utraczonego szkolnego szczęścia okrzyknęłam pro mienna szkoła. Doskonale brał monotonność budowy sprawila, że szkoła wydawała się niewielka — dopiero krańce dookoła gmachu zdąłem sobie sprawę z tego jak jest ogromna, jak jest chłonna słone i tak prawdziwie grecka — helleniska.

Przez dalekie okno zobaczyłem nauczyciela — siwego starca — stał, trzymając w ręku osadzoną na drewnianym kiju mapę — nierzobaczylem głowę uczniów — jasno i ciemno, kędzierzawe.

Odszedłem od Greków rad, że tutaj w Wieruszowie nikt nie poczuł starca cykula. Idąc od Greków, drogą pełną dzwoniących nawoz kur i psów przywilejnych lub nastrozonych doszedłem do gmachu Zasadniczej Szkoły Zawodowej. Był to czerwony budynek z nie otynkowanej cegły, drzwi polyskływały za szpalernych ciemnych świerków. We wnętrzu gmachu wderowałem po podłodze czystej i wypolerowanej do oświeczności i przsz to intensywnie pod nogami obecnej. Kierownik młody, szczupły z przyjemnym nerwowym uśmiechem, zaprowadził mnie do gabinetu, gdzie usiadłem na dnie krzesła sporządzonego z metalowych obrotów i kołorowych pasek elastycznej masy. Tak zapadnięty w ruchome, chwytne dno załilem się kierownikowi sędzą cemu gdzieś wysoko i patrzącemu na mnie z dobrym, inte-

ligentnym uśmiechem. „Dlaczego w Wieruszowie jest źle? Dlaczego dzieci z miasteczka i powiatu po ukończeniu siedmiu klas nie wiedzą co z sobą począć? Mamrotałem, moje skargi niemiawie — przytłaczała moje odczucie i pamięć zła, potężna wizja greckiego Liceum.

Kierownik odpowiadał na moje pytania, myśląc. Widać było, że jest przygotowany do odpowiedzi, a przecież mówiacie rozumuje i gdyby go rozmawianie przywiodło do wniosków przeciwnych tym, które sobie upodobał, gotów byłby natychmiast porzucić te porady i przyjąć inne, nowe. Mówił mi, że Wieruszów powiat i miasteczko to tworzy nieduże. Dwie wielkie szkoły Zasadnicza i Zawodowa, (która on właśnie kieruje) i Liceum mieszczące każda po 450 uczniów zaspokajają w dużym stopniu zapotrzebowanie powiatu. Powiat wierusowski jest słabo uprzemysłowiony i nie byłby w stanie zatrudnić absolwentów Techników — i tak odpłynął on do innych powiatów, do innych województw, głównie do wrocławskiego — obecnie rodzinny wsiwłają ich tam po to, aby zdobyli wykształcenie techniczne.

Kierownik rysuje przede mną powiat jako twór nie tylko świadczący dla młodzieży, ale także stawiający przed nią wymagania. Ten jednolity rolniczy organizm chętnie wyszuka takie narządy, które będą mu potrzebne dla właściwej mu formy istnienia. Przewiduje się w Wieruszowie budowę fabryki konfekcji — fabryka rozmownie produkując w roku 1957 i wiede chętnie zatrudni specjalistów. Szkoła zawodowa uprzedzi to zapotrzebowanie uruchamiając nowy konfekcyjny ciąg nauczania. W obecnym roku szkolnym zgłosiło się do klasy pierwszej 290 kandydatów, przyszłych zaś zostało 120. Ale do grupy wielobranżowej przyjęli zostali wszyscy chętni — ci którzy pracują już przez trzy dni w tygodniu u mistrzów.

W czasie rozmowy kilkakrotnie padła nazwa miejscowości Głazy — było tam kiedyś Technikum Rolnicze. Technikum wygasło, gdyż do miejscowości Głazy wiodły fatalne drogi, obecnie łatwo no komunikację i w Głazach trzeba ponownie uruchomić Technikum Rolnicze. Czy poprawiona droga do Głazów będzie drogą do przezwyciężenia antynomii interesów powiatu i mieszkańców powiatu?

Kiedy odjeżdżałem z Wieruszowa wiatr uciął. Fale Prozny opadły, oglądałem ciach prawie nieruchomą powierzchnię rzeki. Musiałem sobie usilnie przypomnieć, że to rzeka a więc płynie, chociaż ja nie dostrzegam jej ruchu.

informacje i zaczepki

Tydzien temu bańucki chór „Harmonia” obchodził 75-lecie swego istnienia. Zastugi powstałego w 1886 roku Towarzystwa Śpiewaczego w popularnej polskiej pieśni ludowej są powszechnie znane. My ze swej strony wspomniemy tylko, że z działalności Towarzystwa związane są nazwiska takich dyrygentów, jak: Prosnak, Pędziński czy Handziewicz.

Łódzki Teatr Nowy otrzymał na festiwalu sztuk rosyjskich i radzieckich w Katowicach pierwszą nagrodę za inscenizację „Sprawy” Suchowo-Kobylina. Sztukę jak wiadomo reżyserował Bohdan Korzeniewski.

Nie ma u nas prywatnych mecenasów sztuki, nie ma i prywatnych nagród artystycznych. Są jednak za granicą. Ożół polska rodzina Kozelskich z Genewy nagrodziła ostatnio łódzkiego pisarza Andrzeja Brychta. Wzwiąku z tym warto przypomnieć, że zbiór opowiadań Brychta wydawał Wydawnictwo Łódzkie, a sporo jego reportaży (zawartych później w tomie pt. „Czerwony węgiel”) drukowały „Odgłosy”.

Skoro mowa o nagrodach i sukcesach, przypomnijmy, że łódzki pisarz Włodzimierz Krzeminski zdobył w tym roku na ogólnopolskim konkursie na powieść, zorganizowanym przez Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz najpoważniejsze wydawnictwa w Polsce — III nagrodę (powieść „Inicjatywa na odcinku”).

Łódzki Dom Sprzedaży Wiskowej nie spełnił nadziei satyryków — radzi sobie jak najlepiej i w przeciągu krótkiego czasu obsłużył już ponad pięć tysięcy klientów. Oby tak dalej.

Kilkudziesięciu łódzkich nauczycieli i działaczy oświatowych odznaczono Złotą Odznaką ZNP oraz Odznakami Tysiąclecia. Nie sposób oczywiście wymienić wszystkich nazwisk. Wymienimy więc chociaż trzy związane z „Odgłosami” — Witold Czertica i Stanisław Lipka (publikowali na naszych łamach) oraz Wiesław Jazdyński (redaktor naczelny „Odgłosów”).

Niewielki Szadek (powiat sieradzki) produkuje gobelinowe kany, które w wielkiej kopalni... Mongolii. W Mongolii zapewne nazwa Łódź jest pustym dźwiękiem, ale Szadek z pewnością nie.

Nareszcie Wydział Kultury wziął się za liczenie, działające w Łodzi orkiestry pólamarów. Po przesłuchaniu kilkudziesięciu zespołów zabroniono publicznych występów orkiestrom, które poza echa zarobku nie legitymowały się żadnymi innymi umiejętnościami. Jeśli tylko Kultury umają liczenie i zastrzeżenia komisji: muzyczna smirna powinna w Łodzi zniknąć.

J. W.

ROZMOWA ODGŁOSÓW Z:

prof. mgr inż. LEONEM

PFEIFEREM

kierownikiem Katedry Dziewiarstwa
Wydziału Włókienniczego Pł

o:

postępie technicznym
w dziewiarstwie



— Nauka i dziewiarstwo... Przynajmniej Pan Profesor, że to trochę zaskakujące zestawienie...

— Oczywiście, dziewiarstwo jako nauka znane jest niedawno. Po raz pierwszy jako naukę potraktował je Związek Radziecki organizując w okresie międzywojennym katedrę dziewiarstwa przy Instytucie Naukowym w Moskwie. W Polsce zostało wprowadzone do wyższej uczelni z chwilą powołania Wydziału Włókienniczego przy Politechnice Łódzkiej.

— A poza tymi dwoma krajami?

— Najbardziej znanymi w świecie placówkami naukowymi w tej dziedzinie są Instytuty dziewiarstwa w NRD, na Węgrzech, w Mediolanie oraz w Troyes we Francji.

— Który kraj uważany jest za kolebkę dziewiarstwa?

— Pierwszym wynalazcą maszyn dziewiarstwa był Anglik — William Lee. W roku 1889 musiał on emigrować do Francji, ponieważ konserwatywna Anglia nie chciała uznać nowego rodzaju produkcji. Dopiero we Francji, a potem w Niemczech znalazł podatny grunt dla swojego wynalazku.

— A dziś? Gdzie najbardziej rozwinięta jest ta gałąź wytwórczości?

— Jeśli idzie o wielkość produkcji to w Anglii i w Niemczech, pod względem zaś jakości produkcji zdecydowanie Francja i Włochy. Także i Austria wyrobiła sobie światową markę w produkcji sweterków.

— Dane statystyczne wykazują, że dziewiarstwo w Polsce do 1939 roku było daleko w tyle za produkcją dziewiarstwą innych krajów.

Co wpłynęło na rozwój dziewiarstwa po wojnie?

— Dziewiarstwo w Polsce istnieje od 130 lat, ale jego rozwój datuje się od roku 1924, tj. od czasu rozpoczęcia wojny gospodarczej z Niemcami. Do tego czasu wyłaczny monopol na ten rodzaj produkcji posiadały Niemcy, Polska zaś była załana importem pończoch i artykułów dziewiarstkich tego właśnie kraju. Liczby wzrostu produkcji dziewiarstkiej zapoczątkowanej w 1924 roku kształtowały się następująco: w pierwszych latach po roku 1924 produkcja wyrobów dzianych w Polsce podniosła się o 64,1 proc., w wyrobach trwkotkowych, a więc takich jak swetry, pulowery, bluzy itp. o 10,3 proc. oraz nieznanie, bo zaledwie o 2,2 proc. podniosła się produkcja pończoch i skarpet. O ile import wyrobów dzianych w 1924 roku wynosił 919 ton, to już w 1933 roku spadł do 4 ton. W podobnym tempie wzrastała produkcja dziewiarstwa w latach 1932—39 i dopiero wzbuch wojny zahamował jego dalszy rozwój.

Pierwsze lata po wojnie cechuje przede wszystkim rozbudowa mocy produkcyjnych. W roku 1947/48 dziewiarstwo osiągnęło poziom

produkcji z dwu ostatnich lat przedwojennych, a już w roku 1949 produkcja została przekroczona o 45 proc.

— Od jakiego czasu datuje się rozwój dziewiarstwa powojennego?

— Od roku 1955. W tym czasie produkcja dziewiarstwa osiągnęła ponad dwukrotny wzrost w stosunku do roku 1937, był on wynikiem właściwej eksploatacji maszyn oraz niezmiernych inwestycji maszynowych. Radykalna zmiana nastąpiła po roku 1955. Na skutek poważnych już inwestycji maszynowych produkcja wyrobów dzianych osiągnęła w 1960 r. liczbę 21 tys. ton, tj. 114 mln sztuk wyrobów odzieżowych i bieliznianych oraz 90 mln par wyrobów pończosznich.

Obecny plan 5-letni przewiduje prawie kompletną wymianę starego parku maszynowego oraz budowę kilku nowych obiektów. Zakła-





Fot. W. Biliński

CO BĘDZIE ZE MNĄ?

„Droga Poradnio! Jestem uczennicą IX kl. LO. Proszę Cię o podanie adresu technikum po IX klasach bez egzaminu wstępnego po nieważ chciałabym być pewna, że zostanę tam przyjęta. Proszę napisać ile lat trwa i czy jest możliwość otrzymania stypendium. Miałam iść do Liceum Pedagogicznego, ale nie mam do tego zawodu zamiłowania, wolalabym pracę w biurze”.
„Mój syn ma zdolności do rysunku na wszystkich zeszytach ma jakieś rysunki np. twarze ludzkie, figury różne. Jest uczniem przeciętnym, najlepiej idzie mu fizyka i rysunki. Poradź Poradnio do jakiej szkoły posłać syna”.

„Mam zamiar iść z miłą chęcią do szkoły pedagogicznej. Znajomi i krewni odradzają mi, gdyż jest to trudny zawód. Czy warto dziewczynie iść do takiej szkoły?”

Do Poradni przychodzą setki takich listów. Odpowiada się na nie radząc, wskazując odpowiednie szkoły i adresy. Pomaga się w podejmowaniu decyzji, utwierdza w przekonaniu o wadze wyboru zawodu. Niektóre z listów stanowią rozczulające dowody troski i bezradności. Znalazłam wśród nich list inwalidy wo-

się uczył. Matka zaniepokojona brakiem postępów w nauce syna zgłosiła się do Poradni. Dziecko poddano badaniom. Wykazały one, że chłopiec nie znoś widoku mięsa i krwi. Szkołę zawodową wybrał mu rodzice. Miał zdolności artystyczne, był wrażliwy i pobudliwy. Psycholog i lekarz zdecydowali — chłopiec musi zmienić szkołę. Przypadki tego typu często trafiają do Poradni. Dzieci nie zawsze potrafią zdecydować same o wyborze zawodu. A rodzice nie zawsze umieją im nałożyć doradzić. Najczęściej sygnałem alarmowym bywają dwójki, wagiary... Kiedy wyczerpią się wszystkie możliwości wychowawcze szkoły i domu, gdy nie pomagają ani groźby, ani prośby, opiekę nad dzieckiem powierza się Poradni. Psycholodzy opowiedzieli mi wiele skomplikowanych przeżyć dzieci, które niewłaściwie skierowano do szkół. Dzieci nie mogą sprostać stawianym im wymaganiom, przeżywały swoistą tragedię. Tragedię nieprzystosowania do świata i najbliższego otoczenia. Pracownicy Poradni traktują te tragedie serio. Rozwiązują problemy — szukają przyczyn konfliktów. Opowiadano mi o chłopcu ze szkoły cukrowniczej, który nagle przestał chodzić na zajęcia praktyczne. Z przedmiotów ogólnych stał niechętnie się uczył. Ani chłopiec, ani matka, ani też nauczyciel nie potrafili rozwiązać zagadkowego zachowania chłopca, a on odmówił wyjaśnień. Sprawa nie

Tego typu konflikty zdarzają się zwykle w środku roku, po latach, lub miesiącach nauki, gdy nie zawsze udaje się zmienić szkołę bez straty roku.

Owoce tego typu konfliktów jest prawie zawsze strata czasu i strata pieniędzy włożonych w nieodpowiednie kształcenie.

Praca jaką podjęła Poradnia, polega przede wszystkim na niedopuszczeniu do tego typu konfliktów. Stąd naszym zadaniem jest instytucja jest poradnictwem zawodowe. Stąd pogadanki w szkołach, stąd rozległa korespondencja.

KIM BĘDZIE TWOJE DZIECKO?

Poradnia powstała przed blisko pięćmi laty. Pracuje w niej trzynastu psychologów i jeden lekarz. Bada rocznie około 5000 dzieci, nie licząc setek listów, na które jej pracownicy odpowiadają i setek pogadek wygłaszanych w Łodzi i województwie. Pogadek dla dzieci i pogadek dla rodziców. Pod kierunkiem Poradni szkoły przeprowadziły niedawno wstępne badania. Dzieci z klas VII i ich rodzice odpowiedzieli na ankietę — „kim będę?”, „kim będzie moje dziecko?”. Charakterystyczne wydają mi się odpowiedzi dzieci. Oto wyniki z 11 szkół na Bałutach: 61 dzieci wybrało zawód technika samochodowego, 56 — nauczyciela, 40 — pielęgniarza, 33 — lekarza, 27 — inżyniera, 5 — ślusar-

za, 5 — elektromontera. Psycholodzy są zdania, że bardzo niejasne wyobrażenie o zawodach spotyka się nie tylko u dzieci, ale także i u rodziców. Wybierają zawody tradycyjne, albo te będące „szczytem” życiowych aspiracji, albo uświadczone rodzinną tradycją. „Trzeba uświadczać i propagować zawody” — powiadają psycholodzy. I propagują. Wędrują od szkoły do szkoły, prowadząc tak zwane „preorientację zawodową”. Wkrótce przystąpią do nowej akcji, chodzi o pogadanki zawodoznawcze. Razem ze szkołami będą organizowali wycieczki do zakładów pracy, muzeów, nawet do szkół zawodowych. „Mamy kilkanaście specjalnych filmów obrazujących pracę w niektórych zawodach, staramy się by

dzieci mające na ogół abstrakcyjne pojęcie o zawodach, poznały je w warunkach w jakich się je wykonuje. Staramy się ułatwić wybór, dać jego świadomość i szerszą orientację w tym, czym mogą się zajmować” — opisywał mi zadania tej instytucji kierownik Poradni p. mgr Chmay.

Pierwsze odpowiedzi na ankietę potwierdzają opinie psychologów. Dzieci obierają sobie takie zawody, że trudno im wybrać ich traktować poważnie. W jednej ze szkół znalazło się kilkunastu lekarzy, kilku inżynierów i jeden dyplomata. Nauczycielka wyjaśniła mi: „w mojej klasie jest wielu jedynaków”. Poradnia obejmuje poradnictwem w zasadzie tylko klasy siódme, a i w jedenastej wyniki ankiety bywają zaskakujące. W jednej ze znanych mi szkół większa część klasy wybrała się na geografę „łatwo się tam dostać i nauki podobno mało”.

Najwięcej kłopotu sprawiają Poradni dzieci defektywne; ułomne z wadami wzroku i słuchu, dzieci słabo rozwinięte fizycznie, opóźnione w rozwoju. Doradzić im trzeba zawód specjalny, którego wykonywanie nie będzie utrudnione, czy wręcz niemożliwe. Czasem wskazanie takiego zawodu to prawdziwa zagadka. Rozwiązania jej musi się podjąć lekarz i psycholog. Lekarz ustala sprawność fizyczną, psycholog sprawność intelektualną, predyspozycje psychiczne, zdolności.

Jestem świadkiem badania lekarskiego. Czternastoletni chłopiec nieporadnie zdejmując kurtkę. Lekarka zadaje pytania babci chłopca: „kiedy zaczął chodzić, kiedy zauważono, że nie włada ręką?”

Wydaje polecenia: „nie odychaj, wypuść powietrze”, „przejdź przez pokój”, „czytaj litery na tablicy”. Po wyjściu pacjenta objaśnia mi — „urazy poporodowe, znaczny stopień kalektwa, trochę cofnięty w rozwoju.” Chłopiec stanie przed komisją stwierdzającą stopień inwalidztwa. Zawód? W tym sęk — trzeba mu odpowiedni wybrać. „On także musi czuć się potrzebny, trzeba mu wskazać miejsce w życiu, w społeczeństwie.”

Psycholodzy ubrani w białe kitle siedzą razem w dużym pokoju. Aż trudno u-

wierzyć, że w tych warunkach prowadzą badania rozstrząsające problemy życia psychicznego i rodzinnego nie tylko dzieci, ale także i ich rodziców. Dokonują niemal nadludzkich wysiłków by uzyskać intymność rozmowy, szczery kontakt z badanym. Od rodziców, od samych dzieci muszą wydobyć informacje — tropy, po których potoczą się badania. A cisza i spokój niezbędne w ich pracy w tych warunkach są praktycznie nie do osiągnięcia. „Żeby choć jedno pomieszczenie więcej — wzdychają — ogromnie ułatwiliby to nam pracę”. Poradnia zajmuje się też dziećmi, które sprawiają trudności wychowawcze. Te przypadki są znacznie trudniejsze do prowadzenia, wymagają znacznej ilości czasu, większego wysiłku. Najpierw stwierdza się czy powodem trudności nie jest choroba. Dziecko bada lekarz. Pani dr Chrzczonowicz opowiadała mi o chłopcu, który dostawał ataków furii, rzucał się na kolegów, bił i kopał. Nie można sobie było z nim poradzić. Lekarka stwierdziła epilepsję. Psycholodzy twierdzą jednak, że powodem większości konfliktów wpływających ujemnie na psychikę i charakter dziecka jest nieumiejętne postępowanie z nim rodziców. Tu należy szukać powodów większości psychoneurozów, nadwrażliwości przedwczesnej pełnej kompleksów dojrzałości. Opowiadano mi historię wielu takich dzieci. We wszystkich tych wypadkach psycholog staje wobec konieczności pouczenia rodziców, a to nie zawsze jest proste. Jest zawsze wychowywanie rodziców daje rezultaty. „Z dziećmi sprawa jest o wiele prostsza”.

Dziecko, które przychodzi do Poradni na ul. Piotrkowską 125 poddawane jest gruntownym badaniom. Wywiad środowiskowy — rozmowa z rodzicami, wychowawcą, rozmowa z dzieckiem, badanie psychologiczne, badanie lekarskie. Oto, jakby etapy, które przeżywa dziecko nim wydane zostanie orzeczenie.

A psycholodzy podobni są do magów. Wszystko wiedzą, prawie wszystko potrafią wyjaśnić. Wywiady i badania testowe — oto podstawa ich wiedzy o pacjencie. Testy rozwiązują dzieci w odpowiednich warunkach (muszą być wyspane, najedzone itd.) i w odpowiednim czasie. Dostosowane są do wieku, sprawdzone na setkach przykładów. Dzieci odpowiadają na cały szereg pytań nie mających pozornie ze sobą związku, z dziwnych figur geometrycznych tworzą kwadraty, dopasowują brakujące części wykresów...

Na ich podstawie psycholog orzeka czy i na ile dziecko jest inteligentne, jakie są jego wiadomości, jak kojarzy i spostrzega, jaką ma wyobraźnię, jakie są jego umiejętności skupienia uwagi, czy ma zdolności manualne, jakie są jego dyspozycje psychiczne itd.

Psycholodzy pracują w fałszywych warunkach. Dwa duże pokoje i gabinet lekarski — oto całe ich bogactwo. Wykorzystują każdy skrawek wolnej przestrzeni, nawet gabinet lekarski dzieli na pół parawan. Każdy kąt, w którym można chwilę spokojnie popracować. Mają wiele kłopotów i zmartwień z dziećmi i rodzicami, których muszą uczyć i przekonywać... Wierzę, że niosą pomoc, a ich praca jest bardzo potrzebna. W ubiegłym roku Poradnia zwróciła się listowo nie do 40 badanych dzieci. Chodziło o odpowiedź czy skorzystały z porady, czy wybrały wskazane im szkoły i zawody. Odpowiedziało 39 dzieci. Ich autorzy chodzą do szkół, które radził im wybrać psycholog i lekarz.

EWA SULIBORSKA

PSYCHOLOGIA I TWOJE DZIECKO!

jennego gospodarującego na 4 hektarach ziemi, mającego kilkoro dorastających dzieci, które chciałby wychować na „porządnych i solidnych ludzi”, a nie bardzo ma na to środki pieniężne. „Co zrobić Poradnio, jak uzyskać internat i stypendium?” Poradnia Psychologiczna występuje trochę w roli dobrej cioci z „Przyjaciółki”, „Kulis” czy „Kobiety i życia”, ale nie mylmy ról. Poradnia Psychologiczna to instytucja specjalistyczna. Placówka prowadząca nie tylko tzw. poradnictwo, ale i prace badawcze.

ŹRÓDŁA I SKUTKI KONFLIKTÓW

Chłopiec uczył się w szkole przemysłu mięsnego. Zie-

polegała na zwykłym lenistwie. Lekarz Poradni i opiekujący się tym przypadkiem psycholog musieli zabrać się w detektywów. Lekarka ustaliła, że chłopiec jako małe dziecko leczył się w Szczawnicy (choroby dróg oddechowych), a jego matka ma chroniczne zapalenie spojówek, związane z wykonywanym zawodem. Psycholog ustalił, że chłopiec ma często wypryski na rękach i ataki duszności, wskutek tego bywa przedmiotem kpin. Na tej podstawie lekarka wydała właściwe orzeczenie. „Chłopiec jest chory na astmę, ma alergię. Musi zmienić szkołę.”

W obydwu opowiedzianych mi historiach, psycholog wkroczył wtedy, gdy urazy i kompleksy dziecka, jego fizyczne niedomagania, dawały o sobie gwałtownie zna-

cza, 5 — elektromontera. Psycholodzy są zdania, że bardzo niejasne wyobrażenie o zawodach spotyka się nie tylko u dzieci, ale także i u rodziców. Wybierają zawody tradycyjne, albo te będące „szczytem” życiowych aspiracji, albo uświadczone rodzinną tradycją. „Trzeba uświadczać i propagować zawody” — powiadają psycholodzy. I propagują. Wędrują od szkoły do szkoły, prowadząc tak zwane „preorientację zawodową”. Wkrótce przystąpią do nowej akcji, chodzi o pogadanki zawodoznawcze. Razem ze szkołami będą organizowali wycieczki do zakładów pracy, muzeów, nawet do szkół zawodowych. „Mamy kilkanaście specjalnych filmów obrazujących pracę w niektórych zawodach, staramy się by

da też dalszy wzrost produkcji.

— Wracając do dziewiarstwa jako do przedmiotu nauki, jakie są kierunki naukowych prac katedry?

— Prace naszej katedry sprowadzają się do badania struktury dzianin, ich technologii wytwarzania oraz budowy maszyn dziewiarskich. Prowadzimy więc badania nad sprężystością dzianin, kurczliwość i rozciągliwość. Ze względu na to, że zwiększony zostaje udział włókien chemicznych w wytwórczości dziewiarstwa, jak również z uwagi na dwa zadania produkcyjne nałożone na ten przemysł, zakres badań Katedry został ostatnio rozszerzony o tematykę zmieniającą do podniesienia wskaźników jakościowych i użytkowych tkanin, szczególnie tych przeznaczonych na okrycia wierzchnie oraz o tematykę zmierzającą do wprowadzenia nowych procesów technologicznych.

Badania te są o tyle interesujące, że dotychczas wytwarzane dzianiny wykazują z reguły zmienność i płynność cech fizyko-mechanicznych i postaciowych. Stopień nietrwałości oraz zakres zmienności określonych cech

dzianin zależy nie tylko od rodzaju i cech surowca, ale w równej mierze od procesu dziania i wykończenia.

— Czy z prac tych korzysta przemysł?

— Prowadzimy wiele prac na rzecz przemysłu. Jedną z nich dotyczy zastosowania włókien poliamidowych. Inne warunków utraty sprężystości i chwytu dzianiny, inne znowu dotyczą ustalenia wskaźników technicznych dla nowoczesnych procesów technologicznych itp. Robiliśmy też próby na dzianinach przeznaczonych na garsonki, które traciły sprężystość i w noszeniu zbyt szybko ulegały odkształceniu. Wskazaliśmy na przyczyny tego zjawiska zakładając konieczność innego wykończenia dzianiny w ostatniej fazie produkcji.

— Czy świat należy do dziewiarstwa? Mam na myśli możliwość wyparcia tkanin z rynku...

— Taka ewentualność włókiennictwu nie grozi, niemniej dziewiarstwo ma coraz większe perspektywy. Już dziś w wielu przypadkach produkujemy asortymenty o pokrewnych właściwościach użytkowych. Mam na myśli

dzianiny, które są upodabniane do tkanin takie jak np. lodony wykonywane na osnowkach raszlowych, sztuczne futerka na szydełkarkach typu raszlowego, dzianiny na okrycia wierzchnie, wełniane na maszynach interlokowych i inne. Oczywiście dążyć trzeba, aby dzianiny te miały odpowiednią stabilizację, trwałość swoich form. Niestety, z tym jest u nas jeszcze nie najlepiej.

— Jakże są perspektywy dziewiarstwa w Polsce?

— Perspektywy te zostały już właściwie wytyczone przez Ministerstwo Przemysłu Lekkiego. Polityka resortu postawiła zdecydowanie na dziewiarstwo, co znalazło wyraz w planie rozwoju włókiennictwa na rok 1965. Polityka ta pokrywa się całkowicie ze stanem istniejącym we włókiennictwie większości krajów Europy zachodniej. W krajach tych wzrost produkcji dziewiarstwa jest znacznie szybszy aniżeli w innych dziedzinach włókiennictwa. Wynika to z faktu, że dziewiarstwo produkuje taniej i coraz lepiej zaspokaja potrzeby ludności w zakresie odzieży i bielizny. Z porównania produkcji dziewiarstwa polskiego zapla-

nowanego na rok 1965 do produkcji dziewiarstwa w przodujących krajach Europy zachodniej wynika, że na przestrzeni najbliższych 5 lat istniejący dotychczas dystans w zużyciu wyrobów dziewiarskich przypadałających na głowę ludności wyraźnie się zmniejsza. W roku 1965 produkcja wyrażona ilością zużytego surowca na głowę ludności w Polsce będzie wyższa aniżeli we Francji, Włoszech, Danii, Szwajcarii, Szwecji i Norwegii w roku 1957 i będzie zbliżona do zużycia surowców w tychże latach w Wielkiej Brytanii, NRF, Belgii, Holandii i Finlandii.

— W jakim kierunku zmierzają i powinien zmierzać postęp techniczny tej gałęzi naszego przemysłu?

— W planie rozwoju dziewiarstwa postęp techniczny znajduje swoje odbicie nie tylko we wzroście produkcji, w zastosowaniu nowych włókien chemicznych, lecz również we wzroście wydajności pracy, w mechanizacji czynności ręcznych, w zastosowaniu nowych procesów wykończenia dzianin i nowych asortymentów oraz w nowych inwestycjach maszynowych. Postęp techniczny wyraża się

też w pracach naukowo-badawczych prowadzonych nie tylko przez Katedrę Dziewiarstwa ale i przez Instytut Włókiennictwa oraz prace laboratorium centralnych i zakładowych.

Nowoczesny przemysł nie może bowiem inaczej pracować jak tylko w oparciu o nową technikę, o pomoc nauki. Ten właśnie bliski kontakt nauki i przemysłu bardzo potrzebny jest naszemu dziewiarstwu.

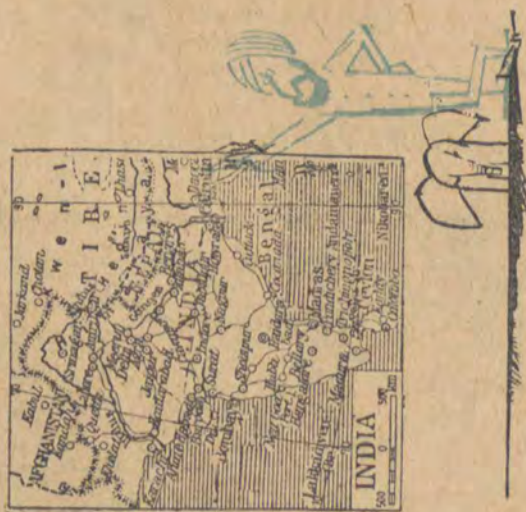
Rozm. K. WIRZYKOWSKA



In one of the cities in India there lived a man. He used to give some fruit to an elephant that daily passed the place where he sat at work.

One day the man said to the elephant:

— I have nothing to give you today.
The elephant went to a little pool of dirty water, filled its trunk and returned. Then the elephant poured a flood of water over the man.



EWA DĄBROWSKA



— Stary osioł — pomyślał Maurycy idąc na górę. Ale rozmowa z dozorcą wytraciła go znów z równowagi i nie był w stanie zabrać się do swej codziennej pracy. Poszedł pół godziny, grzyząc ołówkę, potem włożył płaszcz i pojechał z powrotem do miasta. Na ulicy spotkał redaktora N., z którym poznał się parę tygodni temu na terenie swej pracy. Poszli razem na parę wódek i Maurycy, lekko wstawiony, położył się spać zaraz po przyjeździe do domu.

Przyśnił mu się sen, jeden z tych, które zaraz po obudzeniu wydają się niezwykłe, ale gdy się potem rozważa ich treść, pozabawioną nastroju, który zwierzał i został zapomniany, trudno zrozumieć, na czym ta niezwykłość polegała. Wracał z miasta do domu i dziwił się, jak to jest możliwe, skoro już przed chwilą wrócił i położył się do łóżka. A jednak tamto musiało być nieprawdopodobne, bo przecież znajdował się tutaj, naprzeciw swego domu, sam na pustej ulicy. — Może od tamtego czasu upłynęło kilka dni, a ja nie o tym nie wiem — myślał śniąc. Było szaro, nie wiedział czy

to zmierzch czy poranek, dom stał cichy i pusty. Naraz przez mleczną szybę klatki schodowej zauważył rozmazany zarys jasno oświetlonej postaci, która powoli schodziła w dół. — Kto tu lazi o tej porze? — zdumiał się. Intruz bez pośpiechu skręcił na półpiętrze i Maurycemu mignęły przez chwilę jego pochylone plecy, potem postać znikła z pola widzenia, schodząc co raz niżej. Maurycy stał nie ruchomo, czekając aż wynurzy się z drzwi na parterze, ale czekał na próżno. — Oni tak tu zawsze chodzą — powiedział jakiś głos. — Oni panu nie zrobią nikłej krzywdy, panie. — Oddalał się od tego głosu, podchodząc ku drzwiom. Chciał je otworzyć, powoli wyciągał rękę, ale wiedział, że po tamtej stronie nikogo nie ma i to właśnie było tak przerażające, że zaczął krzyczeć o pomoc, a raczej usiłował krzyczeć, lecz dobywał z gardła tylko zduszony jęk, którego nikt nie słyszał.

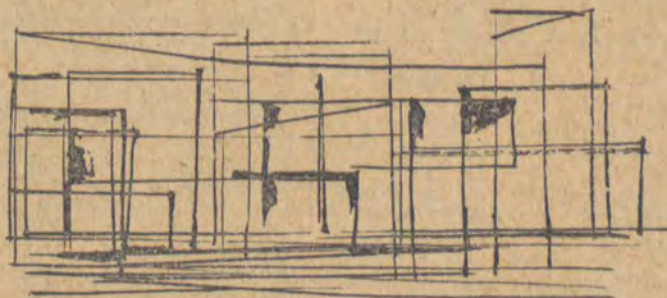
Obudził się leżąc na boku z otwartymi ustami, ścierpięty ze strachu. Serce waliło mu jak szalone. — Za dużo wypłem — po-

wiedział na głos. Ale nie mógł oswobodzić się od przygnębienia, które sen zostawił po sobie.

Nazajutrz zwinął się wez-
szniej z pracy i przyszedł do domu o drugiej. Przed drzwiami minął samochód, do którego właśnie wsiadał jakiś mężczyzna o niezwykle tuszy. Wóz ruszył ostro z miejsca, a Maurycy, pełen niedobrych przeczuć, skierował się do biura.

Pierwszy raz tu wchodził Ujrzał duży, bardzo widny pokój, zastawiony biurkami, znad których wszystkie głosy uniosły się równocześnie i kilka par oczu zniechęconie na jego twarz, gdy stanął w progu. Nie wiadomo dlaczego poczuł, że opuszcza go pewność siebie. Zmieszany, przedstawił się i dość beztępo zaczął mówić o reperacji drzwi na dole i o tym, że na schodach należałoby złożyć jakieś oświetlenie. Mówiąc przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą, jak gdyby tym sposobem chciał ich wszystkich wciągnąć w orbitę swoich spraw i zobowiązań do niesienia mu pomocy. Urzędnicy w milczeniu przytakiwali głowami, czekając aż skończy i Mau-

rycy przez chwilę bliski był myśli, że oto załatwił swoją sprawę i że zlikwidowanie nocnych koszmarów zależy już tylko od jakichś tam papierkowych formalności. Zamilkł. — To leży w kompetencji pana prezesa — rzekł jeden z urzędników, a reszta skinęła głowami. — A więc kiedy można go zastać? — zapytał Maurycy. — Przed chwilą odjechał — rzekli wszyscy chórem. — Pan prezes bywa tu od czasu do czasu — objaśnił ten, który odezwał się poprzednio, był to widocznie kierownik kancelarii, czy ktoś równie ważny. — Pan prezes tu nie urzęduje — dodał. — Pan prezes tu nie urzęduje — skinęli urzędnicy jeden przez drugiego. — Ależ zro-



zumcie panowie! — krzyknął zrozpaczony Maurycy. — Ja nie mogę pracować w tych warunkach! — Zaciśnął ręce na balustradzie, która dzieliła pokój i mówił, odwołując się do ich współczucia, o tym, co go spotkało wczorajszej nocy i co jeszcze może go spotkać. Kiwali głowami, patrząc na niego z życzliwym smutkiem. — To zależy od pana prezesa — rzekł kierownik, gdy Maurycy skończył mówić. — Przekażemy mu tę sprawę — dodał, widząc, że Maurycy nie odchodził, patrzy na niego z otwartymi ustami.

— A teraz słuchaj! — powiedział do niego Maurycy. — Słuchaj uważnie, co mi się dalej zdarzyło. O jakichś tam tego nie można było dostać bliżej! Pamiętasz, wyjechałem kiedyś w teren, to była pierwsza z moich pogadanek. Zdaje się, że wtedy dzwoniłaś do mnie. — Pamiętam — powiedziałam. — Było to w parę dni po owej wizycie w biurze. Szedł piechotą z dworca, zziębnięty i niewyspany, była godzina trzecia nad ranem, gdy znalazł się na swej ulicy. Zazwyczaj było tu ciemno, ale dziś księżyc przegłądał przez chmury i wszystko wokół spowijała wdmowa poświata, przywodząca na myśl nie to zmierzch,

zduszony okrzyk i jakiś kształt pomknął w górę po schodach.

— Czekaj, ty! — zaszeptało coś w Maurycym. — Zaraz zobaczymy, kto tu kogo lepiej nastraszy! — Lekko opuszczył go zupełnie, ustępując miejsca podnieceniu. Intryz zląkł się go i uciekł na górę, miał teraz odcięty odwrót, wystarczyło iść za nim, aby go dostać tam, na ostatnim podejściu. I dowiedzieć się kim był i czego tu szukał. Maurycy nie wątpił, że był to ten sam nocny gość, który już raz napadł mu na tyle strachu. Zerknął w górę. Było ciemno jak w grobie. — Może lepiej zaczekać aż się rozwidni? — zastanowił się. — Te raz mi przecież nie umknie.

Wyszedł na ulicę oparł się plecami o drzwi. Sen go morzył, więc otwierał szeroko oczy i poruszał głową, aby go odprężyć. Przed nim ciągnęły się podłużne pawilony handlowe, na jednym z nich zaczęto montować już napis. SAM. — Pewno wszystkie będą samobsługowe — domyślił się Maurycy. — Teraz to w modzie. — Czas dłużył się niemiłosiernie, w lecie o tej porze byłoby już widno. Pomyślał, że temu na górze dłuży się z pewnością znacznie bardziej; zrobiło mu się wesoło. Włożył ręce w kieszenie i zaczął spacerować przed drzwiami: pięć kroków do latarni, pięć kroków z powrotem i znowu pięć kroków do latarni. Była jeszcze bez lampy, na Nowy Rok obiecywali zrobić oświetlenie. — Będzie mi, cholera, świecić w samo okno — zirytował się. — Ale przynajmniej na klatkę schodową będzie widniej — zapłikował sam sobie. Powoli

Dalszy ciąg na str. 10

(3)

The Prince's new life began. He came soon to a large square with only a few houses in it.

Suddenly he saw a crowd of boys who were running, jumping and playing ball. He asked the boys:

— Will you show me the way to the palace? I'm Edward, Prince of Wales, and I've lost my way.

Everybody laughed at this words, and one of the boys cried to his comrades:

— Down on your knees! Greet your prince!

With cries and laughter all the boys fell on their knees. The prince pushed the nearest boy with his foot and said angrily:

— Take this, and before tomorrow comes, I shall hang all of you!

In a minute the Prince of Wales was beaten by the boys. As night came it began raining, the wind rose, and the homeless prince still walked on and on.

Suddenly a big drunken man stopped him and said:

— Still out? And have you not brought anything home? If I do not break your neck, then I am not John Canty.

— Oh, are you his father? Then let us go to the palace and you can take him home.

— His father? What do you mean? I know that I am your father.

— Oh, please, take me to the king, my father, and he will make you rich. Believe me, oh, believe me. I am indeed the Prince of Wales.

— You are mad...

And with these words they went home.

Ein Student geht ins Kaffeehaus und lässt sich einen Apfelkuchen geben. Dann schickt er aber den Apfelkuchen wieder zurück und bestellt ein Stück Torte.

Die Torte schmeckt ihm sehr gut. Dann erhebt er sich und will das Kaffeehaus verlassen.

Der Kellner ruft:

— Sie, Herr, Sie haben die Torte noch nicht bezahlt!

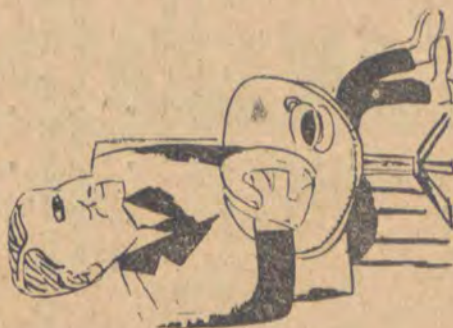
Der Gast antwortet:

— Ich habe Ihnen dafür den Apfelkuchen zurückgegeben.

Der Kellner sagt:

— Den Apfelkuchen haben Sie doch auch nicht bezahlt.

— Und habe ich ihn gegessen? — fragt ruhig der Student.





Tom Canby, left alone in the prince's cabinet, sat down on one of the beautiful chairs and thought:

— If only the Official Court boys could see me.

As time went on he decided to run away and look for the prince.

He opened the door of the cabinet. Six servants and two young pages bowed low before him. He shut the door quickly.

Then a lord came and said:

— What the matter with you, your highness?

Tom answered:

— Please let me see the prince. I am only poor Tom Canby of Official Court.

The lord said:

— Will you follow me, your highness?

SPRICHWÖRTER

Man lern, solange man lebt.

Die Wurzel der Wissenschaft ist bitter, um so süßer ist ihre Frucht.

Mit Geduld und Zeit kommt man weit.

Anfang und Ende reichen sich die Hände.

Man empfängt den Mann nach dem Gewinn, nicht nach dem Verlust.

Geld verloren — nichts verloren, Zeit verloren — viel verloren, Mut verloren — alles verloren.

Poor Tom was slowly walking past low-bowing people. Great lords were walking on either side of him and behind him.

At last Tom found himself in a large room. Before him he saw a very fat man, who was lying in bed. This man was Henry VIII, King of England. He said:

— Come to your father, child. You are not well.

Tom answered:

— Please, believe me, my lord. I spoke the truth. I am the pauper, and I am here only by mistake. But I am too young to die, and you can save me with one little word. Oh, speak it, sir.

— Die? Do not talk so, dear prince, you shall not die.

Tom fell on his knees thanking the king. Then he said:

— May I go now?

— Of course, if you wish. Kiss me, my prince. Now go with your uncle Lord Hertford and come back later. I want to rest now.

(to be continued)



COLUMBUS

Professor Kluge macht eine längere Reise. In Weimar hält der Zug. Professor Kluge will ein Glas Bier trinken. Er verlässt seinen Abteil, liest die Nummer des Abteils „1492“ und geht ins Restaurant. Er sagt dabei:

— 1492: Entdeckung von Amerika. Ich darf das Datum nicht vergessen, dann werde ich schnell meinen Abteil wieder finden.

Professor Kluge trinkt sein Bier und verlässt das Restaurant. In diesem Moment pfeift die Lokomotive. Der Professor wird nervös und vergisst alles. Er läuft schnell zum Schaffner und fragt:

— Herr Schaffner, Herr Schaffner, wann hat Columbus Amerika entdeckt?



Dalszy ciąg ze str. 9

niebo na wschodzie zaczęło różowieć i wielkie, bezładne domy czerniały na tym delikatnym tle. — Teraz! — szepnął Maurycy. Nie śpiąc zaczął wchodzić na górę. W gardle laskotało go delikatnie, jak tłumiony śmiech. Najchętniej pomknął by pędem, ale opanowywał podniecenie. — Jeszcze chwile — postanowił sobie. — Niech się teraz boi, niech czeka! — Na schodach było cicho jak maknem zasiał. Dotarł do pierwszego piętra i spojrzął na górę: nocny gość widocznie przycupnął na progu, bo nie było nic widać.

Maurycy przyspieszył kroku, serce zaczęło mu walić, wbiegł po dwa schody na ostatnią kondygnację i stanął, dysząc — podest przed jego drzwiami był pusty. — I co? — spytałam.

— Co? — spłoszył się Maurycy, mrugając nieprzytomnie powiekami. — Ja od razu pobiegłem na milicję. Ale on powiedział, że pewno usnąłem wtedy pod drzwiami na dole i nie chcieli ze mną gadać. Myśleli, że byłem pijany.

Patrzyłam na jego ręce, poruszające się po białej stolice. Wziął w palce zapalniczkę i przetłamał ją na dwie części, na cztery, na osiem już mu się nie udało.

— Dlaczego nie wszedłeś do mieszkania? — To było pierwsze, o czym pomyślałam, zresztą chyba każdy pomyślałby to samo. — Bał się, czy co?

— Nie — wziął następną zapalniczkę. — Ja sam nie wiem, byłem całkiem zdezorientowany, musiałem zaraz komuś o tym powiedzieć, my-

ślałem, że... Tam nikt nie mógł wejść — przypomniał sobie moje pytanie. — Usłyszałbym, gdyby majstrował wytrychem.

— Jeśli to był duch — powiedziałam wolno — to mógł przecież wejść przez dziurkę od klucza.

Maurycy rzucił połamaną drewnianą wytrzeszczoną na mnie oczy. Pomyślałam, że teraz się rozłoży i albo się na dobre pokłóćmy, albo wreszcie zaczniemy rozmawiać bez wykrecania kota ogonem.

— Duch! — krzyknął histerycznie. — Sama to powiedziała! Ja ani razu nie wspominałem o duchach, ja tego nie wymyśliłem! To oni wszyscy, to oni! Już tamci w komisariacie powiedzieli: „Wstyd, żeby taki wielki chłop wierzył w duchy!” A przecież ja ani słowa...

— A inni? — spytałam.

— Słuchaj! — powiedział.

— Czy ty sobie wyobrażasz, jaki to był żart? Ja naprawdę nie wierzyłem w żadne duchy, nie chciałem wierzyć. Czy zresztą mogło być inaczej? Daję ci słowo — ciągnął, stukając zapalniczką w stolik — wolabym, żeby mnie posadzono o oszustwo, o kradzież, wszystko byłoby lepsze niż coś takiego... Duchy! — krzyknął tak głośno, aż jedna z pijanych dziewczyn obejrzała się i zachichotała. — Duchy — powtórzył z goryczą. — A byłem już prawie u mego.

Zamyślił się i zaczął cicho przytupywać nogą. Przypomniałam sobie nasze ostatnie spotkanie — jakże to było dawno! — i pomyślałam, jak bardzo musiał nadrobić mi na, skoro nie wtedy nie zauważyłam.

— Bronilem się — opowiadał dalej Maurycy — nie mogłem pozwolić, aby w ostatniej chwili powinęła mi

się noga. I to przez takie blaźństwo! A jednak walka z tym blaźństwem była bez nadzieja. Tak — powiedział. To śmieszne. Ale jak ja miałem walczyć z duchami?

Sytuacja stawiała się napięta i nieznosna. Maurycy, roztrzęsiony kompletnie, zwrócił się do zaufanego osobom, spodziewając się, że ich żywiliwe zainteresowanie pomoże mu zebrać się w garść. Miał podświadomą nadzieję, że znajda jakiś słaby punkt w jego relacji, co go w końcu przekona, że i tym razem wyobraźnia spłatała mu figla. Ale nikt nie próbował z nim polemizować; słuchano go i zadawano pytania, na które skwapliwie odpowiadał, a po paru dniach biuro i kawiarnia szumiały od kpinek. Rej pośród plotkarzy wodził Franciszek, rad, że może się odegrać na Maurycym, który ostatnio, zajęty własną karierą, miał coraz mniej czasu na podtrzymywanie tej przyjaźni.

Maurycy wciąż jeszcze miał nadzieję, że uda mu się nagiąć bieg zdarzeń do własnych planów. Złożył znów wizytę swoim gospodarzom i tu dowiedział się, że sprawa remontu zostanie zreferowana podczas zebrania zarządu. — Pan rozumie — powiedział kierownik — pan prezes nie może sam podejmować decyzji. „A więc jednak“ — ucieślił się w duchu Maurycy. — Jednak myśla o tym“ — Uciepił się tej watłej nadziei, jakby od naprawienia spalonych drzwi zależała cała jego przyszłość. Postanowił, że nie pozwoli już nerwom panować nad sobą, teraz, gdy wszystko miało zmienić się na lepsze. Zasnadł po dawnemu na łóżku, otworzył gwój brulion i usiłował skucić myśli na zagadnieniach muzyki współ-

czesnej. Myśli co chwila zbaczały z wyznaczonego toru i Maurycy przylapywał się na tym, że nastawia uszu w stronę drzwi, łowiąc podejrzane szmery. Meczyl się tak do późna. Położył się wreszcie, zgasił światło i leżał w ciemności, nie śpiąc. Rozmyślał z goryczą o tym, jak trudno będzie odzyskać niedawny autorytet, który utracił samochcąc, dzięki swej nieopatrznej paplaniu. Dzisiaj chętnie by odgryzł sobie język. — Jak mogłem zrobić z siebie takiego durnia! — trytował się. — Teraz cały mój awans wiśi na włosku. I to przez kogo! Przez jakiegoś cholernego ducha, w którego u-wierzyłem przez chwilę! —



Zaklął i przewrócił się na drugi bok. — Niedługo naprawia drzwi — przypomniał sobie ziewając. — Jeśli naprawdę ktoś tu chodził to... — Senność napływała powoli, tłumiąc jego ekscytację. — A gdyby nawet — pomyślał leniwie — gdyby to coś w dalszym ciągu chodziło, to właściwie co z tego? Co mi to przeszkadza? Niech sobie chodzi, jak chce...

Lekkie, ostrożne kroki zaszemrały na schodach. Maurycy odrzucił koldrę i usiadł, tłumiąc oddech. Kroki zbliżyły się powoli, jak za pierwszym razem, potem ucichły pod drzwiami. Pamienny lek ścisnął Maurycę go za gardło. Wyskoczył z łóżka, dopadł do okna, trzęsącymi rękami otworzył leżącą tam brzytwę. Zrobił krok w kierunku przedpo-koju i uprzytomnił sobie, że za chwilę będzie musiał znowu stanąć twarzą w twarz z ukrytą w ciemności lary-wą. Poczul, że włosy jeża mu się na głowie, odwrócił nie. Dzisiaj chętnie by odgryzł sobie język. — Jak mogłem zrobić z siebie takiego durnia! — trytował się. — Teraz cały mój awans wiśi na włosku. I to przez kogo! Przez jakiegoś cholernego ducha, w którego u-wierzyłem przez chwilę! —

Od tej pory spał z brzytwą pod poduszką. Raz czy dwa słyszał na schodach znajome kroki, wiedział, że ktoś stoi milcząc za progiem, lecz nie podnosił się z łóżka. — Drzwi — powtarzał sobie w myśli, jak zakłęcie. — Drzwi. Światło. Już niedługo. Wszystko tu będzie inaczej, skończy się strachy. Już niedługo.

Stosunki w pracy nadal były ciężkie. Maurycy czuł, że śmieją się z niego za plecami, lecz udawał, że nic nie dostrzega. — Już niedługo — myślał. — Ja wam wszystkim pokażę, dranie. Już niedługo. — Dzień, w

którym dyrekcja miała zatwierdzić jego awans, zbliżał się szybko.

W Sylwestra wrócił do domu w lepszym nastroju. Zaczynał się nowy rok i Maurycy jak większość ludzi czuł w związku z tym przypływ otuchy. Idąc po schodach zauważył, że biuro jeszcze jest otwarte, więc postanowił wstąpić i dowiedzieć się, czy zebranie zarządu już się odbyło.

Znajome twarze podniosły się znad biurka. — Witam — powiedział kierownik kancelarii, a urzędnicy skinęli głowami. — Omawiano pana wniosek. — I co? — zawołał Maurycy zelektryzowany. — Wszystko, jak pan sobie życzył. — „A więc jednak“ — pomyślał z ulgą, prostując się. — Wprawdzie — ciągnął kierownik — nie udało się zmieścić tej pozycji w planach na najbliższy rok, za to w roku przyszłym... — Głęboki wdech uniósł pierś Maurycę go. — Co wy sobie myślicie! — krzyknął piskliwie. — Z kogo tu chcecie zrobić balona! — Niech się pan uspokoi, niech się uspokoi — zaszemrał urzędnicy. — Nie! — krzyknął tłukąc pięścią w balustradę. — Ja wam pokażę! Jak wam nie wstyd tak sobie kpić z człowieka! Wy dusigrosze! — Pan jest bezczelny, proszę stąd wyjść! — krzyknął kierownik, na policzkach zakwitł mu amarantowy rumieniec. — Proszę wyjść! — wołał wszyscy, zrywając się z miejsc i uderzając o biurka drewnianymi linijkami. —



Tak głosi zabobon. Do wiary w zabobony nikt nie lubi się przyznawać, i to w dodatku głośno. Cóż jednak można poradzić przeciwko tak złośliwemu zrzędzeniu okoliczności, na jakim utknął podczas zbierania materiałów do niniejszego felietonu? — Wyjątkowy pech, bo natrafiłem na liczbę trzynastę, Pech, który potwierdził mimochodem bogactwo tradycji pesymistyczno-fatalistycznej tej niewinnie przed stawiającej się dwucyfrowej liczby.

Trzynastę. Zamiast obiecanej niespodzianki, chowam w zanadrzu feralne trzynastę. — Niestety, taką właśnie kaba listyczną cyfrą szacuje się stan aktualnie posiadanych telewizorów przez łódzkie licea ogólnokształcące. Trzynastę aparatów, czyli trzynastę szkół posiadających możliwość korzystania ze szkolnych audycji telewizyjnych. A że wszystkich liceów w Łodzi mamy

żadne lub prawie żadne. (Chętnie uderzę w pierś, że mea culpa, zamieszczę każdą list prostujący, tak bardzo pragnę się mylić). W takim razie, w wyniku logicznej konsekwencji, ośmielam się postawić demagogiczne pytanie: po co jest ta cała telewizja szkolna? Po co tyle hałasu, jeżeli nie ma o co?

Lecz z drugiej strony, telewizja szkolna istnieje już trzeci rok, i ponieważ jednak, przekorna istnieje, to musi ko muś lub czemuś służyć? Więc — jeżeli służy, to dlaczego

żadna własnych audycji telewizyjnych. Co prawda, te próby, o których już od dłuższego czasu się mówi (w „Rozmowach o programie”, w prasie), nie weszły jeszcze nawet we wstępną fazę przygotowań. Znajdują się wciąż w sferze bliżej niesprecyzowanych projektów. Ostatecznie nie wiadomo, czy LOT przy pomocy i współudziale Ośrodka Metodycznego będzie nadawał audycje szkolne: śpiewu, gimnastyki, matematyki, czy też politechnizacji. Kto odpowiada za ten dziwny stan spoczynku i nieświadomości? Wybacze! lecz nie rozstrzygnę, tu Salomona potrzeba.

Na przykład — prawda jest, że Telewizja Łódzka przeżywała ostatnimi czasy gorący okres, co na pewno przeskodziło jej w zdopingowaniu Ośrodka Metodycznego. Lecz prawda także jest, że Ośrodek Metodyczny zwracał się do LOT kilkakrotnie z propozyc-

PIOTR SIPOWICZ

W czym może pomóc TELEWIZJA SZKOLNA?

Nauczanie telewizyjne o- plera się przede wszystkim na metodzie pogładowej i dysponuje szeregiem różnorodnych koncepcji przekazywania wiedzy. Telewizja, podobnie jak film, potrafi zmusić uczniów do skupienia uwagi na przedmiocie wykładu, do pełnego zaangażowania się — często emocjonalnego — w akcję wizyjnej telelekcji.

Prawa dydaktyczne telelekcji charakteryzują się następującymi zasadniczymi cechami:

1. Telelekcja skierowuje uwagę ucznia na najistotniejsze momenty, wyodrębnione z całości w formie dużych zbliżeń lub zdjęć specjalnych, nie rezygnując przy tym z planów ogólnych.

2. Telelekcja wyławia i podkreśla z wielości prze- różnych elementów wykładu, momenty najważniejsze dla danego tematu.

3. Dzięki różnorodności technik, możliwych w tele- wizji, uczniowie mogą być bezpośrednimi świadkami stawiania się jakiegos zjawis ka, którego odbiór potęguje się przez ukazywanie ich przebiegu w bardzo powiększonej postaci bądź przez zastosowanie zbliżenia, cał- kowitego, bądź półzbliże- nia, jak również przez stoso- wanie animacji, zdjęć przys- pieszonych albo zwolnionych itp., przy czym: pokazywa- nie tego zjawiska w ruchu to naczelną zasadą i zaletą telewizyjnego nauczania.

Dynamikę telewizyjnego nauczania należy właści- wie interpretować i odpo- wiednio z niej korzystać. Wiemy przecież, że istnieją takie przedmioty, które na- wet w śwej statyce, za- wierają elementy ruchu. Od pracy obiektywu zależy na przykład, czy analiza obra- zu Matejki „Bitwa pod Grunwaldem” będzie statycz- na czy też dynamiczna. Dla- tego, chociaż ruch i dyna-

mika lekcji telewizyjnej mo- że stanowić o jej szczegól- nych walorach poznaw- czych, może również — przy niewłaściwym korzystaniu — poważnie obniżyć jej war- tość.

Naukowe znaczenie anali- zy i syntezy w telewizyj- nym nauczaniu ulega naru- szeniu przy dużej ilości zbyt dynamicznych ujęć, scen objaśniających zjawisko. Nie ma wtedy czasu konieczne- go na dokonanie poprawnej obserwacji, bez której z kolei nie jest możliwa wła- ściwa analiza zachodzącego zjawiska.

Oczywiście, te sprawy za- leżne są tylko od autorów telelekcji, i można je odpo- wiednio regulować.

Telelekcje posiadają nie- ograniczone prawie możli- wości przekazywania mate- rialów naukowych, dzięki przebogatej technice, której normalnie nauczyciel w swojej pracy pedagogicznej nie może — bo nie ma skąd — stosować. Każde zjawisko dla kamer telewizyjnych jest uchwytne i może być od ra- zu przekazywane do sal szkolnych.

Przy pomocy telewizji mo- ga być udostępnione te wszystkie procesy, które za- chodzą wewnątrz jakiegos

organizmu, mogą zostać po- kazane budowy różnych skomplikowanych mechaniz- mów, zasady ich działania. W telewizji można oglądać zjawiska niedostępne w nor- malnych warunkach dla oka ludzkiego, lub oddalone na znaczne odległości. Możemy obejrzeć łączenie się poszcze- gólnych pierwiastków, ru- chy elektronów, jak również wykluwanie się pisklęcia z jaja itp. Często należałoby mieszać poświęcić na śledze nie poszczególnych faz pro- cesu, gdy w telewizji widzi- my ten sam proces w cza- sie skróconym, w minutach lub sekundach, dzięki me- todom, które pozwalają na samoczynne dokonywanie zdjęć.

Nauczyciel w obecnej do- bie przeciążony jest nad- mierną pracą. Z drugiej stro- ny odczuwa często brak od- powiednich pomocy szkol- nych, podręczników, materia- łów. Dlatego trudno byłoby negować możliwości tele- wizyjnego nauczania. Szczególnie dla szkół wiejskich, w których brak jest należy- tego wyposażenia w pracow- nie, gabinety, pomoce nau- kowe, telewizja szkolna sta- nowi „okno na świat”, otwie- ra zupełnie nowe możliwości i perspektywy.



W paru zdaniach

O TROPACH „LAMPARTA”

To był jeden z najlepszych programów tego rodzaju jakie oglądaliśmy w telewizji. Nie- stety, nie nasza to zasługa, lecz Telewizji Włoskiej. Zaprezen- towany nam 24 listopada re- portaż filmowy Ugo Grigo- vetiego „Na tropach „Lampar- ta”” zdobył Grand Prix Itali w 1980 r. Naszej telewizji na- leża się słowa uznania za udos- tępnienie go polskim telewi- dzom.

Co do samego reportażu Gri- govetiego nie można mieć najmniejszych zastrzeżeń. Szczególną ciekawość wzbudził on u tych, którzy czy- tali powieść Lampedusa. Ale jeśli nawet ktoś nie czytał „Lamparta”, to mógł znaleźć w sobotnim pro- gramie z cyklu „Portrety” wie- le interesujących rzeczy. Wi- dzieliśmy tam Sycylię od daw- nei i współczesnej arystokracji po dzisiejszy targ starzyzna. Kto nie oglądał tego programu może naprawdę żałować (nie będzie już miał okazji zob-aczyć „autentycznego” listu diabła, oczywiście w „szalań- skim” języku).

O NOWYM TELETURNIEJU

Europeizujemy się. Skromne „Drzewka mądrości” i „Kółka i krzyżki” wysiadają przy „Wielkiej grze”. Tu można wygrać... 25 tysięcy złotych. Pierwszy inauguracyjny tele- turniej „Wielkiej gry” widzie- liśmy 25 listopada. Trochę to zabawne, że telewizja miała trudności z nazwaniem tej au- dycji. W końcu zwrócono się z tym do widzów. Nie- skomplikowany tytuł wymyślił (choć trudno to powiedzieć, gdyż identyczny tytuł nosi

znana powieść o tematyce sportowej) młody student pra- wa. Po pierwszym quizie mo- żna powiedzieć, że nowy cy- kliczny teleturniej zapowiada się ciekawiej od dotychczas- wych (taka wygrana!). Przy okazji zobaczyliśmy i usłyszeli- śmy znane piosenkarkę fran- cuską Jacqueline Boyer, ład- na buzia i przeciętny głos, daleko jej jeszcze do słynnej mamy. Z okazji premiery nowego teleturnieju — oby jego „europejskość” nie na- brała swoistej „oprawy” tj. słynnych skandali quizowych (tak często zdarzających się na Zachodzie).

O SKOSTNIAŁYM „PERYSKOPIE”

Ostatnie numery „Perysko- pu” wykazują niepokojący ob- iaw statywności. Po „Perys- kopie” z dnia 28 listopada nasuwa się wniosek — audycje te należą ożywić. Jest zrozumi- ałe, że obecne bogate życie polityczne dostarcza wielu te- matów. Toteż nie można ogra- niczać się w tej popularnej au- dycji tylko do pokazywania komentarzów politycznych i reportaży filmowych. Gdzie „podział się” uroczyste gawedy Wańkowicza, dyskusje na te- maty polityczne itp. Czyżby zwiększenie częstotliwości na- dawania tego programu wpły- nęło na wyczerpanie inwencji jego twórców,

T. W.

odgłosy

str. 11

13 jest liczbą feralną

trzydzieści jeden, więc w prze- liczeniu na tzw. procent statys- tyczny praktyczne możliwości wyglądają jako tako, lecz w przeliczeniu na liczbę natural- ne i bardziej prostym, i wię- ciej konkretnym — te praktycz- ne możliwości kurczą się do stosunkowo niewielkiej i mało obiecującej cyferki — trzy- nastę.

I żeby tu tak przeciw zabo- bonom wystąpić, a ogłosić: trzynastę wcale nie przeska- dza, że w tych szkołach wy- korzystuje się do maksimum audycje szkolne. Trzynastę to przeżytek, który w praktyce nie znajduje pokrycia.

Nie z tego, można tylko westchnąć, zaś następnie wy- dzielić szkoły, które posiada- ją telewizor raczej (kurtuazyj- ne) nie korzystają z jego po- mocy, i tych będzie znakomi- ta większość — oraz wskazać te szkoły, które starają się zu- żytkować program audycji szkolnych mniej więcej syste- matycznie — i tych będzie znakomita mniejszość. Kon- kretnie dwie: III i XIII Li- ceum Ogólnokształcące.

W pozostałych jedenastu (z trzynastki) — odważne korzy- stanie z telewizyjnego ekspe- rymentu — telewizyjnego jest

łódzkim szkolem nie?

Jednak nie zamierzam zwa- lić całkowicie winy na te je- denastę szkół, gdzie telewizor jest, ale telewizji szkolnej ra-czej nie ma.

Bo jakże można ustosunko- wać się do faktu, że Łódzki Ośrodek Metodyczny zupełnie nie orientuje się, ile szkół łód- zkich ma telewizory, które to są szkoły, jak się w nich ko- rzysta z audycji? Jeżeli nawet Ośrodek Metodyczny nie po- siada rozeznania w tak — zda- wałoby się — elementarnie prostych i jednocześnie zasad- niczych sprawach, to w jaki sposób może on czuć nad- całokształtem telewizyjnego eksperymentu, jakie wskazać metodyczne zaleca w prak- tycznych odniesieniach?

Samą znaki zapytania, a wszystkie przy okazji feralnej trzynastki.

Wierzę, że w dziedzinie teo- retycznej Ośrodek przoduje, lecz przecież nie o teorii cho- dzi, ani na teorii rzecz polega. Więc znowu pytam się — pra- wie demagogicznie, kto w ta- kim razie jest kompetentny (lub nstuje być) w sprawach telewizji szkolnej?

Pod inny znak zapytania na- leży zaklasyfikować próby two

jami do wspólnego zastanowie- nia: co można by robić, a czego lepiej nie, nie dostając od LOT odpowiedzi. Lecz prawda po- nadto jest, że Ośrodek Meto- dyczny miał jeszcze w paź- dzierniku opracować dokładny projekt — a nie luźne su- gestia — audycji telewizyj- nych, czego nie wykonał do tej pory (grudzień). I jest wiele innych prawd niezbitych, prze- chyłających szalę raz na te, a raz na tamtą stronę, lecz przede wszystkim prawda jest brak zdecydowanej inicjatywy i z jednej i z drugiej strony. W taki sposób — owszem, na- wet przemysłowy — można je- szcze obchodzić się wyzeku- jając: kto pierwszy — przez cały następny kwartał, zaś wtedy pr- wda, zrobi się taka, że dla Łodzi nie będzie miejsca w planach Naczelnej Redakcji Programów Oświatowych.

Tymczasem wiele nauczycie- li posiada interesujące propo- zycje i szkoda wielka, że mar- nują się one nie wykorzystane. A dziedziną naszej rodziny te- lewizji szkolnej jakoś nie po- trafi przebrnąć przez okres zabłowania i potrzebuje kon- kretnych rozwiązań.

KOWALSKI



Irena Santor stała się „etadową” solistką „Muzyki Łatwej, lekkiej i przyjemnej”, lecz tego telewizzowie nie mają chyba za zle autorom programu?

Fot. Z. Krajewski

Redaguje Zespół • Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Pra- sa Łódzka • Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 98. Tel. 244-79 • Warunki prenumeraty: miesięcznie 2 zł., kwartalnie 6 zł. • Redakcja nie zamawia reklam w prasie • Prenumeratę przyjmuje wszystkie placówki pocztowe, li- stonosze oraz PUPiK „Ruch” — z oznaczeniem na „Odgłosy” • Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Żwirki 17 • Zam. 2422 XI. 62. A-4

DZIECKO

ODGŁOSY
tygodnia

- ISTOTA NIEZNANA

— do takiego wniosku musiałby niechybnie dojść każdy myślący laik, gdyby w ubiegły poniedziałek zabłądził do auli Biblioteki UL i wysłuchał referatów tam wygłoszonych. Z udziałem 550 osób odbyła się tu Konferencja Naukowa na temat psychohygieny dziecka szkolnego. Zorganizował ją Oddział Łódzki Polskiego Towarzystwa Higieny Psychicznej wespół z kuratoriami okręgów szkolnych oraz zarządami okręgowymi Związku Nauczycielstwa Polskiego Łódzi i województwa. Lista współorganizatorów konferencji daje wyobrażenie o składzie jej uczestników: byli nimi praktycy — specjaliści wszystkich profesji, zajmujących się dzieckiem w szkole i poza nią.

Dziecko, istota nieznana — komu? Oczywiście, dorosłym en masse, nie wyłączając — narażmy się — części praktyków — specjalistów, zasklepiających się w swojej wąskiej dziedzinie, bądź obracających się w kręgu tradycyjnych pojęć i wyobrażeń. Wobec konferencji polegał na tym właśnie, że traktowała o dziecku „wielopłaszczyznowo”, a nadto że podważyła kilka mitów i z dawna uznanych komunałów.

Główne przyczyny niepowodzeń szkolnych? Oczywiście — wrodzona ułomność intelektualna, oczywiście — rodzina zapracowana bądź rozbita, złe warunki materialne w domu itp. — powiada komunał. Otóż żadna z tych „oczywistości”! Jak dowodził prof. dr JAN KONOPNICKI, kierownik Katedry Pedagogiki Eksperymentalnej UJ, na podstawie przeprowadzonych przez siebie badań szczegółowych, w niski poziom umysłowy jest przyczyną drugoroczności zaledwie w 12 procentach. O wiele bardziej prowadzi do tego niepowodzenia zespół czynników emocjonalnych, jak brak wiary we własne siły ucznia, dekoncentracja uwagi i niestalość uczuciowa. W 93 procentach brak koncentracji uwagi pokrywa się z brakiem ambicji ucznia. Wniosek z tego, że przyczyny drugoroczności leżą również w błędności metod dydaktycznych, nie wyrabiających m. in. koncentracji uwagi. Nie samymi stopniami należy mierzyć postępy ucznia, ale i wzrostem ambicji!

Katastrofalny brak zainteresowania matematyką i fizyką w naszej szkole — jak to określił prof. Konopnicki — czeka na badawcze wejrzenie naszych naukowców. Przedmioty te stały się celem samym w sobie, a nie środkiem wykształcenia. Podobnie jak przyczyny niepowodzeń w zakresie tych przedmiotów, odległym badawczym, leżą przyczyny drugoroczności w szkole średniej. Okazuje się, że mamy tutaj do czynienia z poważną nieumiejętnością tzw. cichego czytania. Uczniowie szkół średnich, ba! — studenci nawet, nie potrafią dość często zdać sprawy z lektury 2 stron tekstu!

Jeżeli chodzi o czynnik

społeczny niepowodzeń szkolnych, to wbrew obiegowemu mitowi nie zapracowanie zawodowe rodziców ma zgubne skutki. Drugoroczni przynależą nie do rodzin najbiedniejszych, ale głównie do średnio sytuowanych, i pochodzą nie z rodzin rozbitych, ale po prostu „szczęśliwych”, w których jednak rodzice faktycznie współżyją jak pies z kotem.

Wszystkie te momenty wymagają, aby dziecko było traktowane w szkole jak najbardziej indywidualnie. Nie dziecko dorabiać do programu dydaktycznego i metod wychowawczych, ale odwrotnie!

Pozytywnej stronie sukcesów dziecka w szkole w procesie jego uczenia, na który przypada przecież 1/3 życia ludzkiego poświęcony był referat doc. dr M. GRZYWAK-KACZYŃSKIEJ (Katedra Psychologii Uniwersytetu Lubelskiego). W odróżnieniu od dorosłego, który pracuje dla celów materialnych, tym, na co dziecko czeka pracując, jest wyłącznie uznanie i szacunek. Szkoła nie zawsze to docenia, nie licząc się z indywidualnymi możliwościami dzieci, z ich potrzebą samodzielnej aktywności. Zdarza się, że szkoła wyczerpała ciekawość i radość z jakimiś dziećmi do niej przychodzi.

Nie zawsze również doceniane jest w praktyce zjawisko „akceleracji”, czyli stałego przyspieszenia okresu rozwojowego człowieka. O zagadnieniu akceleracji mówił prof. dr med. JAN BOG DANOWICZ, kierownik Kliniki Chorób Zakaźnych Wieku Dziecięcego w Warsza-

wie. Ten ciekawy referat mógł pozostawić ten jedyny niedosyt, że dotyczył przyspieszonego we współczesnym świecie rozwoju fizycznego dziecka, a nie psychicznego. Tymczasem badania na Zachodzie stwierdzają również obniżenie się o 2-3 lata (m. in. pod wpływem masowych środków komunikacji międzyludzkiej — telewizji, radio) dojrzewania dziecka do myślenia refleksyjnego, co nie może nie być uwzględnione w modernizacji metod nauczania i wychowania.

Wreszcie ostatni referat konferencji prof. dra med. KAZIMIERZA DĄBROWSKIEGO, kierownika Zakładu Higieny Psychicznej i Psychiatrii Dziecięcej PAN, a zarazem Przewodniczącego Zarządu Głównego PTHP, ujął tzw. fobie (lęki) u dzieci szkolnych. Zwrócenie uwagi na wyraźne dziś przez psychiatrię dziecięcą wyodrębniony zespół objawowy psychoneurozyjny (głównie lęk przed pytaniem — objaw jankanie — ośmieszeniem, spóźnieniem do szkoły, opuszczeniem domu, rozstaniem z rodzicami, itp.) wywoła na pewno niejedną refleksję u praktyków wychowania.

Mówi się u nas często o potrzebie pedagogizacji rodziców. Jest to postulat słuszny, ale i maksymalistyczny. Zanim go urzeczywistnimy, jak najbardziej aktualny pozostaje postulat minimalistyczny: pedagogizacji pedagogów w duchu zintegrowanych nauk o dziecku. Konferencja, którą tu odnotowujemy, była niewątpliwie cennym krokiem w tę stronę.

SCEPTYK

JESZCZE
o MONROE

Monroe? Lekko przepasana bogini, niebiańska rozkosz na podobieństwo „Cherry Jubilee”. Jej wilgotne wargi, piciące się blond włosy, opadające ramiona biustonosza i rytmicznie wznoszące się i opadające piersi, dla których dekollet jest zawsze za ciasny — oto cechy, oto do karykatury doprowadzone wdzięki, które Monroe — tak przynajmniej się sady — odśloni każdemu. Poza tym — na co dzień twarda jest Monroe do rozpozrania. Uwolniona od natrętnych spojrzeń przechodzi „fimo”, usługując zadrzemać taksówkę, a kelner, który w bocznej uliczce podaje jej sok pomarańczowy ani się domyśla, że jego gościem jest nędziem jego najskrytszych pragnień. Bardzo często trzeba zostać poinformowanym, że Monroe — to właśnie Monroe; przypadkowo spotkana wydaje się być amerykańską gejszą, małą przyjaciółką człowieka interesu, albo śpiewaczką kabaretową, która rozpoczęła karierę farbując włosy przy dwunastu latach, a przy dwudziestu — splukując już trzech mężów. Ale chociaż Monroe zdaje się ucieleśniać powyższy typ, nie należy ona do tej klasy; jej naskórek jest za cienki, a ponadto posiada ona tę zdolność do intensywnych uczuć, która jest tajemnicą talentu, a talent ona ma. Rola opuszczonej, spragnionej miłości istoty, która gra, ma siłę przekonywania i wdzięku. Łatwo to zrozumieć. Jest tylko mała różnica pomiędzy jej postacią filmową, a wrażeniem jakie osobiste wywołuje. Siła przyciągająca obydwu tych postaci ma wspólne źródło: Monroe jest cielesnie i duchowo sierotą, i przez stygmat sierotstwa znaczone i „hjańsiona”. Choć w gruncie rzeczy nie ufa nikomu, stara się wszystkim podobać, w każdym momencie mieć obrońcę. My — jej publiczność, jej przyjaciele, czujemy, że uśmiecha się do nas, czujemy się związani współczuciem, wzruszeniem. Głęboko jej leku budzi serdeczne współczucie.

Tak pisał Truman Capote o M. M. w 1959 roku w słynnym albumie sławnych ludzi sportretowanych przez Richarda Avedona.

* * *

Jeśli komu ten styl pisania odpowiada (nam — bardzo!) odsyłamy po dodatkowe wzruszenia do niedawno wydanej książki tego autora „Śniadanie u Tiffany”.

WINA, WINA, WINA DAJCIE!

Wiemy, że będzie to głos wołającego na puszczy, niemniej czujemy się w obowiązku wołać... Wina, wina, wina dajcie — dla Łodzi!

Jakże w kompleks prowincji nie popaść, jakże nie zardzość stolicy — skoro tam, w Warszawie półki się uginają od win gronowych, importowanych (i nie gronowych), a u nas — w Łodzi tylko „Perliste” i „Szampan” dla ubogich! Jakaż żalostliwość serce łodzianina rzucanego na bruk Syreniego Grodu, a smak i gust do win gronowych (i nie gronowych) mającego, po przodkach, z mlekiem matki wyssany!

Bo choć Polska nigdy nie była krajem winiarskim — w sensie produkcji tego zwanego trunku (i gleba i nasłonecznienie uprawie winorośli nie sprzyjały), to jednak wino z dawien dawna sprowadza. Przede wszystkim — od sąsiadów.

Już w połowie XV wieku spotykamy notatki o imporcie win z Węgier. Odbywał się on „drogą kołową”, w beczkach umieszczonych na wozach zaprzężonych w woły. Droga morską od XVII wieku — płynęło lekkie jak pianka — wino z Francji, ciężkie i groźne jak fale — wino z Hiszpanii. Nasze studencie rozpoczęło mode na

vermouthy — włoskie, francuskie, niemieckie.

Tuż po wojnie — ostatniej, rozpoczęliśmy importowy „start winny” od win węgierskich, a następnie — rumuńskich i bułgarskich. Potem znalazły się trunki francuskie, jugosłowiańskie, greckie i włoskie.

Nasz najwytrwalszy winny partner — Węgry (wiadomo — „Polak — Węgier dwa bratanki i do bitki i do szklanki”) dostarczają nam obecnie 2 tys. ton, czyli 200 tys. hektolitrow, czyli 2 mln. litrów wina rocznic. Teoretycznie więc — co piętnasty Polak włącznie z niemowlętami, może raz do roku napić się 1 litr: Egri Burgundi, albo „gri Bikaver, albo Rizling albo Silvanee Pecseneji, albo Furmint, albo Tokaj Furmit...”. Pod warunkiem oczywiście, że nie mieszka w Łodzi.

„Wina gronowe są ściśle objęte limitami, dlatego u nas nie ma. Jeśli coś jest — w pierwszym rzędzie dostają kawiarnie. Obecnie zaś — chowa się na święta — na tzw. rezerwy świąteczne. A że w Warszawie jest nawet w małych sklepach? Ba, wiadomo — stolica! W tym sensie mniej więcej odpowiedział na nasze pytanie — dlaczego w Łodzi wina „nie uświadczy”? — dyrektor handlowy „Delikatesów”.

Prognozy na przyszłość — także nie są zbyt optymistyczne — detal nie ma, hurli nie ma, konsument — nie ma. A właściwie dlaczego? Kontakty zaczęliśmy — ze wszystkimi winnymi krajami. Może by tak — im naszą „Czystą”, od nich — trochę więcej „pronowego napoju”? Wina białego i czerwonego (dwie zasadnicze grupy); wytrawnego, półwytrawnego, słodkiego (podział — w zależności od ilości cukru); li-kierowego, musującego, gazowanego, ziołowego (podział w zależności od zastosowanych zabiegów technologicznych)...

Nie mówimy już, że chcemy i Rizling Meleki i Rizling Araci i Rizling Balatoński — nie, hyle jaki, hyle Rizling.

To samo — z tokajem, wszystko jedno: Aszu, Szamorodni, Pecsenejbor czy Furmint...

Aleatico, Calabrese, Laerima, Mistella, Manollia, Blancallor, Ranina... jakże słodko i... nieosiągalnie brzmią te nazwy!

P.S. Najgorsze jest to, że mamy brzydkie podejrzenie: czy przypadkiem przy rozdziale tych limitów winnych nie „nawalił” przedstawiciel łódzkiego handlu? Czy rzeczywiście — „wszystko dla stolicy”, a figa dla Łodzi? Czy nikt tu nie jest winny???



Rok 1915. Wilhelmowskie Niemcy okupują Łódź, zdobyta przez gen. Litzmanna, z powodu opóźnienia z pomocą wojskom rosyjskim, dowodzoną przez gen. Rennekampfa, rosyjskiego generała. Niemca z pochodzenia. Różnica na temat tego opóźnienia mówiono. Ciekawych odsyłam do historii I wojny światowej 1914-1918.

Nawiasem mówiąc, w tym czasie rządy na ratuszu w Łodzi sprawował Niemiec, Oberbürgermeister von Schopen. Szefem sanitarnym na miasto Łódź i okolice był niemiecki profesor Minkowski, u którego leczyl się zamężne Niemki i Żydówki.

W tym okresie Julian Tuwim przetłumaczył na język polski „Carą Pawła” Mereżkowskiego. W Teatrze Wielkim przy ul. Konstantynowskiej (obecnie Obr. Stalingradu — teatr należał do Fryderyka Sellina — spłonął w 1922 r.) istniała tzw. „działówka” pod dyktando Aleksandra Szarkowskiego. W skład zespołu m. in. wcho-

dził: Józef Pilarzki i Stefan Szosland.

Otóż ten zespół wystawił „Carą Pawła” Rocha Pełkińskiego. Na premierę przyjechał Ludwik Sołski, kreując te role w Teatrze Polskim w Warszawie. Zapytany przez Tuwima — co sądzi o kreacji cara — Szosland, odrzekł:

— Nie mam tu po co z „Carem” przyjeżdżać do Łodzi. Szosland wystarczy.

Tenże zespół wystawił Gabrieli Zanolskiej „Tamtego”. Do roli głównej „Pollemajstra” Kornelowa, zaproszono króla aktorów polskich, Kazimierza Kamińskiego, porucznika Strielkowa grał Stefan Szosland.

I oto tableau. Szosland w momencie popełniania samobójstwa gra i koncertowo. Zrywa się na widowni huragan oklasków. Niebawem rzecz jak na łódzkie stosunki — otkłaski przy otwartej scenie. Król aktorów Kamiński przeżywa nerwowo wstrząs za sceną.

— „Nie, ja tu grać nie bede — wyrzekł.

Zagadnięty przez dyr. Aleksandra Szarkowskiego, co się stało, że nie wychodzi na scenę, odrzekł:

— Owszem, tym razem wyjde, ale jutro już mnie tu nie zobaczycie.

Istotnie. Kamiński słowa dotrzymał, zerwał kontrakt i wyjechał z Łodzi.

Od tego czasu nazwisko Stefana Szoslanda stało się głośne w całej Polsce.

*) Pierwszy pseudonim Juliana Tuwima.